26•III 1932

ŚWIAT

Nr. 13



NA REZUREKCJĘ

Fot. Photo Plat

CENA NINIEJSZEGO NUMERU 1 ZŁ. 40 GR.

ROK XXVII **ŚWIAT** NR 13

WARSZAWA, DNIA 26-go MARCA 1932 ROKU

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

Wszystkim Przyjaciołom i Czytelnikom naszego pisma przesyłamy szczere życzenia świąteczne

REDAKCJA

Pokój ludom dobrej woli!

Nigdy może to hasło, wysnute z nauki chrześcijańskiej, nie było traktowane z większym realizmem, jak w tej chwili, gdy obraduje w Genewie międzynarodowa konferencja rozbrojeniowa. Wyszło ono już z orbity zainteresowań marzycieli, filozofów i proroków; stało się przedmiotem badań prawników, polityków, ekonomistów. Nie kongres ideologów, oderwanych od życia, nie konsyljum mędrców zastanawia się nad jego przeprowadzeniem, lecz zjazd przedstawicieli kilkudziesięciu państw z udziałem przeszło tysiąca rzeczoznawców.

I nie chodzi jedynie o zmniejszenie ilości armat, kulomiotów, czołgów, pancerników, aeroplanów bojowych, o redukcję kontyngensów rekruckich i budżetów wojskowych, o zakaz używania gazów trujących i bakterji chorobotwórczych w akcji wojennej, słowem, o ograniczenie rozmiarów przyszłej hekatomby ludzkiej; chodzi o całkowite wykluczenie wojny, jako środka regulującego wzajemne pretensje państw, chodzi o urobienie psychiki ludzkiej w kierunku potępienia i odrzucenia mordów między narodami, jak poniechane zostały w stosunkach między poszczególnymi ludźmi.

Z tych założeń powstała propozycja polska o rozbrojeniu moralnem. Zaleca ona wprowadzenie do kodeksów kar za podburzanie do wojny lub zachęcanie do pogwałcenia praw międzynarodowych, zakaz istnienia organizacji, działających na szkodę pokoju, zaniechanie szerzenia nienawiści plemiennych w wykładach, podręcznikach szkolnych, audycjach radjowych, w obrazach filmowych i innych produkcjach publicznych.

Przyjęcie tego rodzaju konwencji międzynarodowej nie stanowiłoby zapewne pełnej gwarancji zaprzestania wojen. Dla osiągnięcia bezpieczeństwa potrzeba stworzyć cały kompleks środków materjalnej natury, oraz wypracować dokładny plan sankcji karnych, tak samo, jak dla poskromienia zbrodni indywidualnych konieczna jest policja, sądy i więzienia. Ale te instytucje, najlepiej nawet zorganizowane, okazałyby się bezsilne w społeczeństwie, kierującem się zasadami vendetty, samosądów i linczu.

Otóż projekt „rozbrojenia moralnego" ma na celu zmianę pojęć etycznych w stosunkach międzynarodowych. Takie przeobrażenia moralne nie następują łatwo ani prędko; zanim wejdą one w krew i mózg społeczeństwa, muszą być jasno sformułowane i skodefikowane. Cieszymy się, że inicjatywa w tym względzie wyszła z Polski.

Nie jest to zresztą kwestją przy-

padku. Żaden naród przez wiekowe męczeństwo nie odczuł boleśniej od nas wiarołomstwa, przewrotności i przemocy sąsiadów. Odzyskawszy byt niepodległy, chcemy go utrwalić nazawsze i zabezpieczyć przed wszelkiemi ewentualnościami. Ponieważ zaś zarówno ze wschodu, jak i z zachodu graniczymy z potęgami, które bynajmniej nie tają swych zaborczych instynktów — jedni w imię ideałów społecznych, drudzy w myśl teorji o wyższości swej rasy — musimy więc wszelkich używać sposobów, aby uchronić się przed temi niebezpieczeństwami.

Dwa służą po temu środki: wzmocnienie swej pozycji na terenie międzynarodowym i konsolidacja wewnętrzna. Każdy z nich, stosowany oddzielnie i wyłącznie, nie jest dostateczny. Tylko jednoczesne wyzyskanie obu zapewnia skuteczność samoobrony.

Polska nie może sobie pozwolić na dumne izolowanie się od innych państw. Ma zbyt potężnych, zdecydowanych przeciwników i zbyt długie niekorzystne granice. Szukając sojuszów, musi odwoływać się zarówno do pokrewieństwa krwi i kultur, jak do wspólności interesów politycznych i gospodarczych.

W dzisiejszych czasach przymierza nie buduje się wolą panujących, ani nawet uchwałą rządu. Musi mieć ono przynajmniej milczącą aprobatę szerokich warstw ludu. Stąd powstaje współzależność polityki zagranicznej i wewnętrznej. Jakkolwiek byśmy odgradzali się od ingerencji czynników obcych w wewnętrzne sprawy kraju, wpływ taki automatycznie oddziaływuje, oczywiście nie w poszczególnych wypadkach, — byłoby to zbyt przykre i upokarzające dla suwerennego państwa, — ale na ogólne nastawienie jego polityki. Do Rosji carskiej wraz z pożyczkami francuskiemi przychodziły prądy liberalne i konstytucyjne i one podcięły autokratyzm rządów. Dzisiejsza Czechosłowacja zawdzięcza swe sukcesy finansowe i polityczne na bruku paryskim wiernemu trwaniu przy demokratyzmie i parlamentaryzmie. Natomiast państwa, które naruszyły te cechy swego ustroju, próżno wyczekują jakiejkolwiek pomocy, chociaż z różnych innych względów — jak rola ich militarna, obszar, zaludnienie, położenie geograficzne — bardziejby jeszcze na nią zasługiwały.

Naturalnie działa tu nietyle abstrakcyjne upodobanie do takiej czy innej formy rządu, co przeświadczenie o zależności konsolidacji wewnętrznej państwa od jego ustroju politycznego. Społeczeństwa, nawykłe do form demokratycznych, dopuszczających pełną jawność życia politycznego, poddających władze państwowe kontroli publicznej i odpowiedzialności za czyny, nieufnem okiem patrzą na kraje, gdzie zachodzą zjawiska niezrozumiałe, wywoływane przez ukryte sprężyny, niewiadomo poco i dlaczego. Rzeczy, których się nie pojmuje, stają się mimowoli podejrzanemi.

Uważa się też swobodne wentylowanie zagadnień politycznych za warunek zdrowia narodu. Tylko w ten sposób obywatel zapoznaje się z niemi i staje się świadomym czynnikiem życia państwowego. Im żywszy zaś jest udział członków społeczeństwa w tych sprawach, tem szerszą zyskują one podstawę i większą siłę.

Nie jest groźną dla państwa najliczniejsza nawet opozycja, o ile wie, czego chce i jak ma to osiągnąć; w pewnym momencie uzyskuje ona większość i obejmuje ster rządów. Nieszczęściem natomiast jest istnienie wielkiej ilości malkontentów, błąkających się pomacku; taka ślepa a rozjątrzona masa plącze się w różnych kierunkach i przeszkadza każdej akcji.

Niestety, w Polsce zbyt wiele jest tych żywiołów niezadowolonych, a nie umiejących ani wskazać przyczyny niezadowolenia, ani znaleźć drogi wyjścia. Potrafią tylko narzekać.

Sarkają na stosunki polityczne, ale bodaj więcej jeszcze na trudności gospodarcze. Jedni z nich oskarżają Polskę niepodległą o wszelkie zło, jakie istnieje obecnie, inni winią rządzących nią ludzi. Ale wszyscy deklarują zgodnie, że z tego kataklizmu, z tej ruiny powszechnej, z upadku naszego rolnictwa, przemysłu i handlu — już się nie wydobędziemy. Koniec!

Ten beznadziejny pesymizm świadczy o braku myśli i nieposiadaniu skali porównawczej. Prawda, kryzys, jaki przeżywamy, jest ciężki: trzysta tysięcy ludzi nie ma pracy, fabryki i kopalnie stają, w sklepach pustki, rolnictwo nie daje dochodów, urzędnicy ledwie wegetują, inteligencja różnych zawodów zubożała, wszyscy kurczą się w wydatkach.

Ale czyż to zdarza się poraz pierwszy w dziejach ludzkości, a choćby w dziejach naszego kraju? Za Księstwa Warszawskiego Polska była tak wyniszczona wojnami, że najbogatsi ludzie nie dojadali. Za Królestwa Kongresowego sarkania na podatki Lubeckiego były powszechne; nazywano go grabieżcą i niszczycielem dobra prywatnego; po powstaniach aresztowania, wywożenia i konfiskaty zrujnowały połowę obywatelstwa. Potem przyszły epidemje cholery; potem ruina ziemiaństwa, nie umiejącego gospodarować bez pańszczyzny i napotykającego po raz pierwszy konkurencję zbóż amerykańskich. „Nędza Galicji" — jej chłopa, jej żyda, jej urzędnika — stała się przysłowiową.

Były wprawdzie też lata tłuste, ale one raczej stanowiły w ciągu całego XIX wieku wyjątek, pozwalający wytchnąć, póki znów nie nadeszły ciężkie czasy. Sięgnijmy tylko pamięcią we własne życie, albo zajrzyjmy do historji, zwłaszcza do pamiętników, a przekonamy się, że te trzy - cztery lata kryzysu, na który tak narzekamy, to nic nadzwyczajnego, to wcale nie koniec Polski ani cywilizacji.

Bywało gorzej! Na szczęście, nie mamy teraz głodu, nie mamy zarazy morowej. Ludzie nie padają na ulicach miast; wieśniacy nie jedzą sproszkowanej kory drzewnej. Mamy poddostatkiem jadła, elegancjej ubieramy się, lepiej naogół mieszkamy, niż przed wojną — i taniej.

Gorzej jest 10 tysiącom górnym — to prawda. Nie stać na wyjazd za granicę, na huczne zabawy, na zbytkowne stroje; brak czasem gotówki na tytoń, a nawet na buty.

Źle jest urzędnikom. Ale kiedy i w jakim kraju było im dobrze?

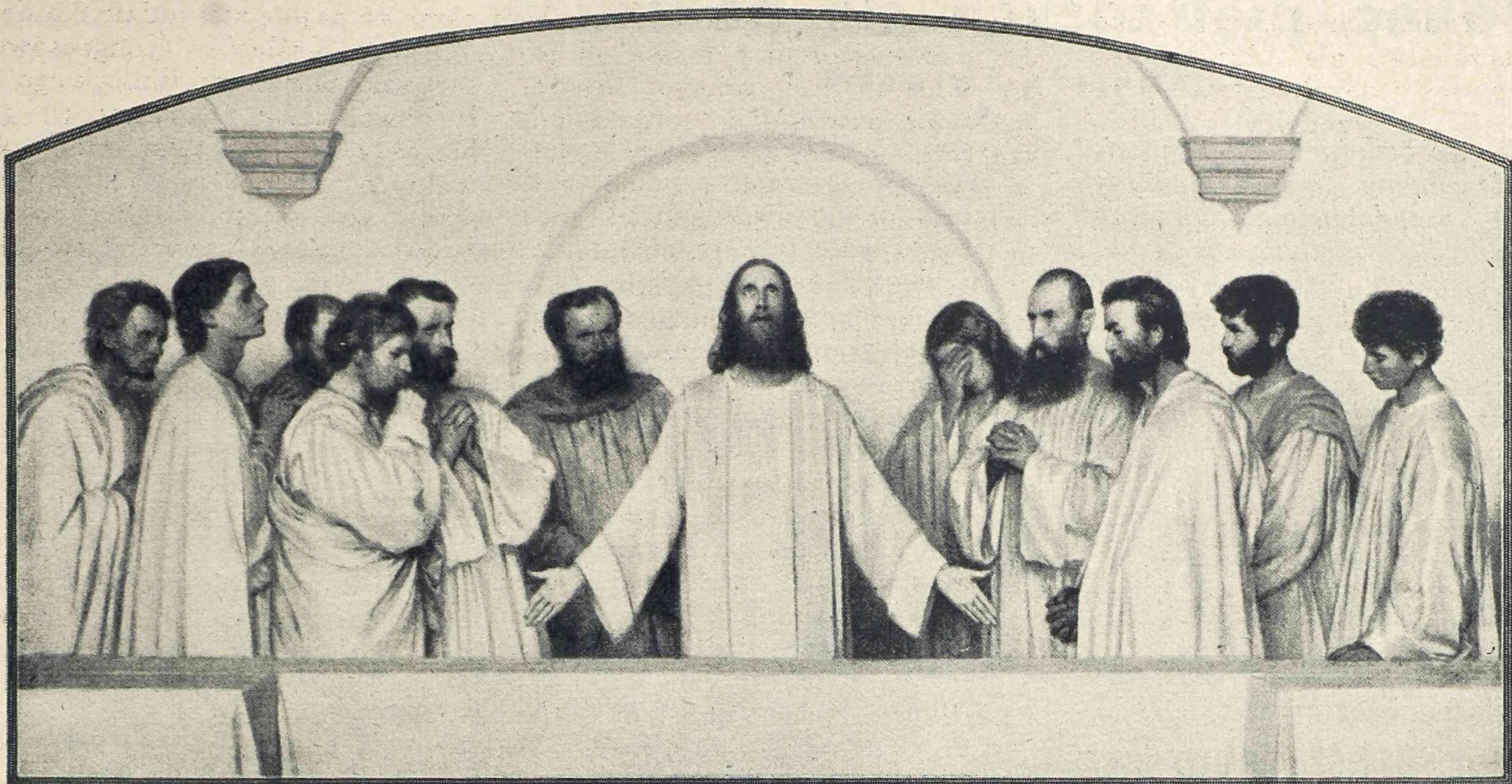
Konsyljarze, palestranci, podsędki — też nie opływali często w dostatki, a literaci — nigdy.

Natomiast, jeśli wziąć wielkie masy chłopskie i robotnicze — nie licząc bezrobotnych — to los ich znacznie jest jednak lepszy, niż dawniej. A to decyduje o dobrobycie kraju. Zbyt wielka była u nas — i jest — różnica między luksusem szczytów socjalnych a ubóstwem nizin. To się musi wyrównywać. Lepiej, że następuje drogą powolnego przesuwania się warstwic, niż miałoby odbyć się przez trzęsienie ziemi.

Niema powodu do rozpaczy. Wszystko przemija, minie i kryzys. Przodkowie nasi w gorszych momentach głosili: „Nil desperandum".

Mamyż my zwątpić, którzyśmy ujrzeli cud Zmartwychwstania?

W. Giełżyński



Eugenjusz Burnand: Ostatnia Wieczerza Pańska



Andrzej Andreani (1540 – 1625) Złożenie do grobu

Wobec piętrzących się podatków

2) „ANKIETA ŚWIATA"

W poprzednim numerze „Świata" zamieściliśmy głosy trzech wybitnych przedstawicieli przemysłu, handlu i rolnictwa, pp. Ludwika Darowskiego, Henryka Bruna i Stefana Gorskiego o obciążeniu podatkami tych dziedzin życia gospodarczego i uldze, jaką im przyniesie nowa ustawa. Dzisiaj kontynuujemy naszą ankietę.

STANOWISKO SKARBOWOŚCI

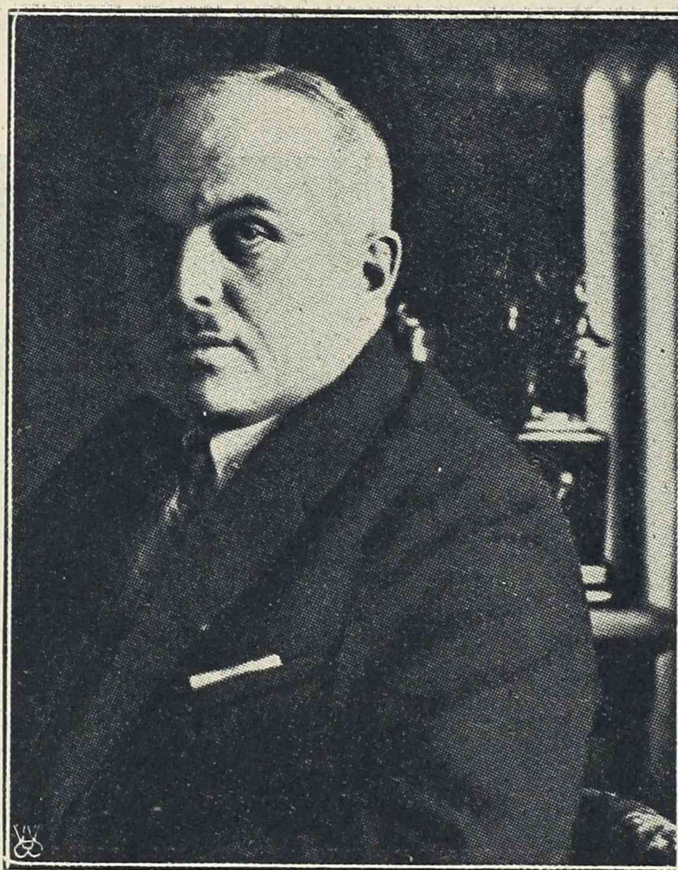
Wybitny znawca skarbowości, b. wiceminister skarbu

dr. TADEUSZ GRODYŃSKI,

sądzi, że ustawa o ulgach podatkowych może przynieść skarbowi poważne korzyści.

— Sytuacja finansowa państwa jest w obecnej chwili trudna, z powodu spadku wpływów. Dość powiedzieć, że od kwietnia 1931 r. do stycznia 1932 wpływ z podatków bezpośrednich (dochodowego, obrotowego, gruntowego i t. p.) zmniejszył się o 17% w porównaniu z ubiegłym rokiem budżetowym. Suma zaległości podatkowych wzrasta z miesiąca na miesiąc. Trzeba więc było szukać środków, mogących zapewnić skarbowi żywszy i regularniejszy dopływ gotówki, oraz umożliwiających płatnikowi choć częściowe podołanie ciężarom podatkowym. Nowa ustawa przynosi skarbowi podwójne korzyści: materjalne i techniczne.

Dotychczas metoda ściągania podatków, bez możności udzielania ulg w t. zw. karach za zwłokę, kosztach egzekucji i t. d., stanowiła ogromną trudność, a w praktyce dawała rezultaty problematyczne. Pewien bardzo mądry ekonomista z XVIII w. powiedział, iż podatki posiadają swoją własną tabliczkę mnożenia. „Dwa razy dwa, niekoniecznie musi być cztery; czasem bywa trzy, albo dwa, a nawet i zero". Maksymę tę sprawdziliśmy na własnej skórze. Dłużnik nigdy nie wychodził ze swoich zaległości, o ile mu wszelkie częściowe wpłaty zaliczano na poczet kar, a kapitał nie zmniejszał się zupełnie. Wielką trudność stanowiła tu i ta okoliczność, że np. podatek dochodowy wymierza się z reguły na podstawie dochodów z ubiegłego roku, a płaci się go w roku następnym, co przy powiększającym się kryzysie niezawsze odpowiadało istotnym możliwościom płatniczym i zwiększało ciężary płatnika. Jeśli się zważy, że minister skarbu nie miał prawa zniżania poniż j pewnej granicy, ani umarzania odsetek i kar, to przewidziane przez obecną ustawę upoważnienie do przyznawania tych ulg jest wielkim plusem. Im słabsza płatność, tem większy ciężar stanowi narastanie ubocznych, a bardzo problematycznych w egzekwowaniu, należności. Według brzmienia nowej ustawy, skarb strat nie powinien ponieść, gdyż otrzyma kapitał podatkowy, będący źródłem dochodu



DR. TADEUSZ GRODYŃSKI

budżetowego. Odpadają jedynie ewentualne wpływy z kar, które w większości wypadków traktować należy według wspomnianej tabliczki mnożenia.

Ale zasadniczym i niezbędnym warunkiem uzyskania ulg uczyniono słusznie terminowe płacenie podatków bieżących. W przeciwnym razie skarb straciłby raz na zawsze dotychczasowych punktualnych płatników.

Drugim plusem ustawy jest strona techniczna. Upraszcza bowiem ogromnie manipulację skarbową przez umorzenie kwot nieściągalnych. Dzięki temu odpada ciężka praca przenoszenia takich kwot z roku na rok do nowej księgowości. Manipulacja ta niejednokrotnie pociągała za sobą większe koszta, aniżeli zyski. Zaletą nowej ustawy jest też decentralizacja systemu ulg podatkowych, przewiduje się bowiem możność przeniesienia uprawnień dotyczących ulg na Izby Skarbowe, co usprawni aparat podatkowy i pozwoli łatwiej usunąć dotychczasowe trudności. Naturalnie wymagać to będzie całkowitego zrozumienia ważności zadania przez poszczególnych urzędników i ich wysokiego wyrobienia państwowego i obywatelskiego.

ZDANIE RZEMIOSŁA

Niemniej interesująca jest opinja bardzo szerokich kół płatniczych, jakie stanowią rzemieślnicy. Ze stanowiskiem ich zapoznał nas

dyrektor H. NIEDŹWIECKI,

jako przedstawiciel Centralnego Towarzystwa Rzemieślniczego.

— Nowa Ustawa nie obejmuje rzemieślników, którzy najdotkliwiej może ze wszystkich odczuwają kryzys i uginają się pod ciężarami podatkowemi. Jeśli chodzi o ulgi podatkowe dla rzemieślników, to rząd przedewszystkiem powinien zmienić ustawę o zryczałtowaniu podatku obrotowego. Chociaż bowiem obniżono z dniem 1 stycznia b. r. stawkę podatku obrotowego z 2% na 1½%, a z dniem 1 stycznia 1933 r. z 1½% na 1%, jest to jednakże dla olbrzymiej większości rzemiosła ulga papierowa, albowiem rzeczywistość będzie zależała od Urzędów Skarbowych względnie od rozporządzenia wykonawczego p. ministra skarbu o zryczałtowaniu podatku przemysłowego. Natomiast bardzo wielkiem obciążeniem jest zmiana poprzedniej ustawy. Dotychczas rzemieślnik, pracujący z jedną siłą, był zwolniony od jakiegokolwiek podatku przemysłowego, nie potrzebował nawet wykupywać świadectwa przemysłowego. Obecnie każdy rzemieślnik, chociażby sam pracował, zniewolony jest wykupić świadectwo przemysłowe VIII kategorji. Pozatem do liczby pracowników przy wykupnie świadectwa przemysłowego wlicza się również właściciela zakładu.

Wskutek tego najbiedniejsi nawet rzemieślnicy obowiązani są płacić podatek przemysłowy, chociaż niejednokrotnie dochody ich nie wystarczają na najskromniejsze nawet utrzymanie, a bardzo często, tygodniami całemi nie pracują. Największem jednak niebezpieczeństwem jest sam projekt zry-

ODWIEDZINY P. PREZYDENTA W „REDUCIE"



W INSTYTUCIE TEATRALNYM „REDUTY" NA SZTUCE P. M. SZCZEPKOWSKIEJ PT. „SPRAWA MONIKI" BYŁ OBECNY P. PREZYDENT RZECZYPOSPOLITEJ W TOWARZYSTWIE MINISTRA JĘDRZEJEWICZA, PREZESA SŁAWKA I SZEFA B. HEŁCZYŃSKIEGO. TAK SZTUKA, JAK I WYKONAWCY ZOSTALI ZASZCZYCENI UZNANIEM P. PREZYDENTA Fot. „Światowid"

czałtowania podatku według przeciętnej obrotów z lat 1928—30. Rzemieślnicy w roku największego kryzysu muszą płacić podatek, obliczony na podstawie okresu, w którym powodziło im się lepiej. Obciążenie to, przewyższające możność płatniczą, najlepiej zilustruje przykład następujący:

Majster zatrudniał w r. 1928 — 3 czeladników i był oszacowany na 20.000 zł. obrotu, mimo, że rzeczywisty jego obrót wyniósł zaledwie 10 — 15 tysięcy. W r. 1929 zatrudniał nadal 3 czeladników i oszacowano go również na 20.000 zł. obrotu, a w r. 1930 zatrudniał już tylko 1 czeladnika i dwóch uczniów i oszacowano go (po reklamacji!) na 15.000 zł. obrotu. Obecnie „zatrudnia" teoretycznie jeszcze dwóch uczniów, lecz posłał ich do rodziców, a sam chodzi po klientach w poszukiwaniu pracy—i jeżeli w tem położeniu osiągnie obrót 5.000 zł., to będzie dużo. Według nowej ustawy musi on płacić 1% od przeciętnej z lat 1928, 29 i 30, czyli od fikcyjnego obrotu 18,323 zł., t. j. — 203,50 zł. podatku na rzecz państwa i 46,25 zł. na rzecz związków komunalnych, podczas, gdy przy 2 proc. stawce od rzeczywistego obrotu (5,000 zł.) płaciłby tylko zł. 100 na państwo i zł. 25 na Związki Komunalne.

Wkońcu należy zwrócić jeszcze uwagę, że do noweli z 19 grudnia 1931 r. niema dotąd rozporządzenia wykonawczego, a ponieważ nowela ta ukazała się już po nowym roku, musieliby wszyscy drobni rzemieślnicy płacić niesłusznie karę za zwłokę przy kupnie świadectw przemysłowych. O ile w polityce podatkowej nie nastąpi reforma, uwzględniająca ciężkie położenie rzemiosła polskiego, to z całą pewnością przewidywać można, iż w bardzo krótkim czasie zaniknie ono zupełnie, zwiększając zastępy bezrobotnych — konkludował dyrektor Niedźwiecki.

j. s. w.

Wskutek pomyłki drukarskiej, w wywiadzie, umieszczonym w № 12 „Świata", z p. Stefanem Gorskim, brak słowa „nie" w zastrzeżeniu, że ostatnie zarządzenia państwowe, dotyczące ulg podatkowych, „dadzą dobre wyniki, pod warunkiem, że *nie* będzie to jedyną formą pomocy, jakiej rolnictwo od rządu oczekuje".

Tego właśnie słowa *nie* zabrakło w druku, co zupełnie zmieniło sens zdania.

TYDZIEŃ „ŚWIATA"

(Wig.) Tradycją pomajową stała się zmiana rządu bezpośrednio po zamknięciu sesji budżetowej. Przepowiadano też i teraz przesunięcia na stanowiskach ministerjalnych. Utrzymywano nawet, że marszałek Piłsudski, wyjeżdżając na kurację do Egiptu, pozostawił odpowiednie dyspozycje w zamkniętej kopercie i że ma ona być otwarta w dniu jego imienin.

Niewiadomo, czy pogłoski o kopercie odpowiadały prawdzie, ale istotnie dn. 20 marca, jakby na komendę, trzej ministrowie, pp. Janta-Połczyński, Leon Kozłowski i Norwid-Neugebauer podali się do dymisji, nie ujawniając powodów tej jednoczesnej rezygnacji.

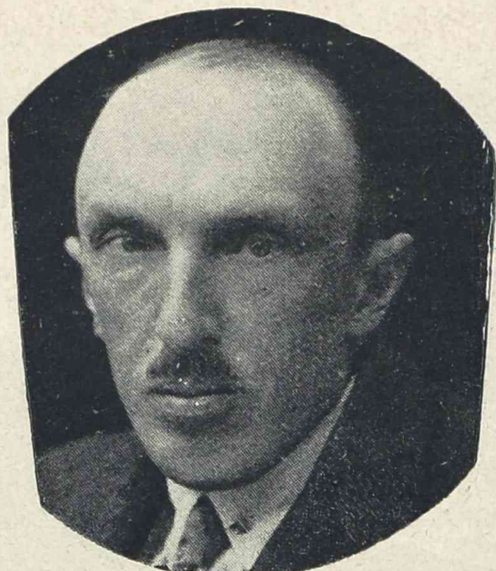
Tegoż dnia częściowe przesilenie zażegnano przez powierzenie teki robót publicznych ministrowi komunikacji, inż. Kühnowi i przez zjednoczenie resortów rolnictwa i reform rolnych w rękach p. Seweryna Ludkiewicza. Jednocześnie podsekretarz stanu w ministerstwie skarbu, prof. Wł. Zawadzki został mianowany ministrem z przydzieleniem do Prezydjum Rady Ministrów w charakterze wicepremjera do spraw gospodarczych.

Zwraca ogólną uwagę, że wszyscy trzej nowomianowani ministro-

REKONSTRUKCJA RZĄDU



ALFONS KÜHN



SEWERYN LUDKIEWICZ



WŁ. ZAWADZKI

wie należą do kategorji fachowców i nie mają wysokich szarż wojskowych. To wzmocnienie pierwiastka kompetencji w gabinecie wywołało jaknajlepsze wrażenie.

Awans prof. Zawadzkiego na ministra i wicepremjera do spraw gospodarczych podyktowany był potrzebą posiadania w centralnej komórce rządu wybitnej siły fachowej dla przygotowania ustawodawstwa dekretowego, na zasadzie uchwalonych pełnomocnictw. Wymieniano na to stanowisko kandydaturę b. ministra skarbu Matuszewskiego, który ostatnio wystąpił przeciw kartelom i „sztywnym cenom" przez nie podtrzymywanym. Prof. Zawadzki, należący do konserwatystów, milej był widziany przez sfery przemysłowe i ten wzgląd zapewne przeważył na jego korzyść.

Ustąpienie ministra Janty-Połczyńskiego pozbawia Wielkopolskę jedynego przedstawiciela w rządzie, a ziemiaństwo wypróbowanego rzecznika. P. Seweryn Ludkiewicz, inżynier - agronom z wykształcenia, a demokrata z przekonań, nie może być uważany za zastępcę tylko interesów wielkiej własności ziemskiej; będzie mu leżeć na sercu także małe i średnie rolnictwo. Był on ministrem reform rolnych jeszcze w czasach przedmajowych, ostatnio stał na czele Banku Rolnego, jest więc wytrawnym znawcą zagadnień agrarnych. Dlatego doskonale może uosabiać unję personalną między resortem rolnictwa a reformą rolną oraz doprowadzić do zupełnego zjednoczenia obu ministerstw w jedno. Połączenie to dyktowane jest zarówno względami oszczędnościowemi jak i rzeczowemi, gdyż sprawa reformy rolnej w Polsce straciła swój zaogniony charakter i nie wymaga już specjalnego traktowania. Mniej uzasadnione jest dążenie do likwidacji ministerstwa robót publicznych. W dziedzinie meljoracji zasadniczych, osuszania błot, regulacji rzek, przeprowadzania kanałów, budowy dróg bitych, elektryfikacji kraju, budownictwa mieszkaniowego i t. d. Polska posiada jeszcze olbrzymie zaległości i potrzeby. Ministerstwo to ma jednak wybitnie charakter inwestycyjny; przy dzisiejszym więc braku środków skazane jest na wegetację. Stan to jednak przejściowy; odpowiada mu unja osobista z komunikacją, ale nie powinna ona rozwijać się w kierunku zupełnego zespolenia tych rozbieżnych dziedzin. Postawienie na czele obu połączonych — miejmy nadzieję — chwilowo resortów tak znakomitego administratora i technika, jak p. minister Kühn, pozwoli kolejnictwu doskonalić się nadal, oraz uchroni roboty publiczne od rozstroju i zapewni im przetrwanie do chwili, gdy znów będą mogły ruszyć pełną parą.

Równocześnie z rekonstrukcją gabinetu nastąpiły przesunięcia na stanowiskach podsekretarzy stanu. P. wiceminister Stamirowski, urzędujący ostatnio w prezydjum Rady Ministrów, a poprzednio w Min. Spraw Wewnętrznych, został skierowany teraz do Ministerstwa Pracy. P. Kozłowski zaś, dotychczasowy minister Reform Rolnych otrzymał nominację na wiceministra skarbu w zastępstwie p. prof. Zawadzkiego.

. . . .

(sk) Prezydent Republiki Czecho-Słowackiej prof. Massaryk, mimo 82 lat, zachował pełną czerstwość fizyczną i umysłową. Zawdzięcza to przedewszystkiem niezwykle silnemu organizmowi, ale także i starannej, codziennej hygienie. Uprawia każdego ranka odpowiednią do swych lat gimnastykę, jeździ z wielkiem zamiłowaniem konno. W tej mierze spotyka się z upodobaniem Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, prof. Mościckiego, który w Spale chętnie i dużo używa jazdy konnej.

W Pradze opowiadają o następującej przygodzie sportowej powszechnie szanowanego i kochanego Prezydenta. Prof. Massaryk ma stałe zmartwienie: podczas swych przejażdżek konnych towarzyszą mu zawsze „aniołowie stróże", tajni agenci policji, którzy mają poruczoną misję czuwania nad bezpieczeństwem głowy państwa. Prof. Massaryk bardzo nie lubi tej opieki i, jak może, stara się jej uniknąć. Raz jeden, gdy bawił u siebie na wsi i wyjechał na spacer na ulubionym wierzchowcu, udało mu się zgubić swoich opiekunów. Oczywiście — wielki niepokój. Co się stało z Prezydentem? Gdzie jest? Zatroskani dżentelmeni pędzą po drogach na rowerach i motocyklach. Jeden z nich widzi starszą kobietę w drzwiach przydrożnej chaty. Pyta, czy nie widziała starszego pana, jadącego konno.

— Nie, nie widziałam.

Agent poszybował dalej.

Lecz w pół godziny potem tą samą drogą wraca na swym rumaku prof. Massaryk, zadowolony z samotnej przejażdżki. Owa kobieta widzi go i podchodzi żywo.

— Niech pan się schowa w chałupie. Policja jest na pana tropie, dopiero co tutaj byli. A kajdanki, to tylko dzwonią im w kieszeniach.

Poczciwa kobieta wzięła Prezydenta za uciekającego przed sprawiedliwością przestępcę.

Prez. Massaryk lubi podobno opowiadać tę anegdotę.

Si non è vero...

. . . .

(M.) Agitacja za nagrodą im. Nobla dla znakomitego amerykańskiego powieściopisarza i pamflecisty, Uptona Sinclaira, dotarła nawet do Polski. Na liście petycyjnej do szwedzkiej akademji znalazło się 750 podpisów, reprezentujących 55 państw. Za autorem „Grzęzawiska", „Spekulantów", „Sylwji" w Polsce opowiedziały się wszystkie wszechnice z wyjątkiem krakowskiej. Znajdujemy tu podpisy: Jana Kochanowskiego (uniwersytet warszawski), Eug. Kucharskiego (uniw. lwowski), A. Kleczkowskiego (Poznań), Wiktora Hahna (Lublin), Andrzeja Boleskiego (Wolna Wszechnica Polska) oraz prof. Mojżesza Schorra.

Podpisy te wywołują pewne zdziwienie. Polska w roku bieżącym

wystawiła swego kandydata do nagrody Nobla. Jest nim prof. dr. Tadeusz Zieliński, znakomity badacz antyku, powaga w dziale hellenistyki. Po śmierci berlińskiego uczonego Willamowitza-Moellendorffa Tadeusz Zieliński pozostał, jako siła naukowa w tym dziale bez konkurencji.

Co skłoniło naszych profesorów do akcji dywersyjnej?

. . . .

(A.) Niezadługo nasze szkoły średnie wypuszczą znów 14 tysięcy maturzystów. Gdy zważy się, iż duży procent inteligencji znajduje się obecnie bez pracy, musi nasunąć się pytanie, jak pokierować tą młodzieżą w wyborze zawodu. W Niemczech w tej chwili zarejestrowano 5 tysięcy prawników bez posad i 22 tysiące nauczycieli. W Austrji bezrobotnych „doktorów" liczy się obecnie na tysiące. W Budapeszcie trzy tysiące inżynierów poszukuje jakiegokolwiek zajęcia!

U nas stosunki nie przedstawiają się tak groźnie, lecz już teraz społeczeństwo winno zastanowić się nad hyperprodukcją lekarzy, prawników, nauczycieli, inżynierów. Po kilku latach może się przecież okazać, iż wielu z tych maturzystów, którzy obecnie kończą szkołę średnią i przygotowują się do studjów uniwersyteckich i politechnicznych, znajdzie się wobec tragicznej niemożności zastosowania swojej wiedzy do zdobycia chleba.

Praktyczność nakazuje przewidzieć rozwój wydarzeń i zastosować już obecnie zracjonalizowanie wyboru zawodu. Marnowanie sił nie jest ani w interesie zainteresowanych jednostek, ani też całego społeczeństwa. Kryzys gospodarczy utrudnia wprawdzie należytą ocenę sytuacji, gdyż i zawody techniczne dotknięte są brakiem pracy, lecz myśl o przyszłości naszej młodzieży nie powinna być zlekceważona.

. . . .

(B.) Ktoby chciał zapoznać się z próbkami „stylu regionalnego", niech przeczyta kilka gazet prowincjonalnych. Będzie to lektura bardzo pouczająca. Słownictwo artykułów wstępnych, sprawozdań teatralnych przepełnione jest porównaniami soczystemi, barwnemi, zawiesistemi. W reportaż nie wgłębiajmy się zbytnio, skoro czołowe pióra lubują się w powiedzonkach, jak „wesz", „świntuch", „draństwo" i t. p. W sprawozdaniu teatralnem jednego z dzienników wileńskich czytamy: „ze zgrozą słuchało się tej *bujdy*, nietylko marnej do ostatnich granic, nietylko pozbawionej wszelkiego dowcipu, nawet tych powiedzonek warszawskich, które zwykle ratują ubóstwo pomysłów stołecznych autorów, ale niesmacznej, pozbawionej cech prawdopodobieństwa, które przecież obowiązują i w farsie... Majaczy się poprzez te *ględzenia*, że autor pragnął ukazać odrodzenie narodu w młodych, którzy łącząc burżuazję z proletarjatem w imię miłości i płodności nawracają starych".

Dodać należy, iż tak „barwnie" pisze pióro kobiece. Styl regionalny naszych dzienników, niestety, trącić zaczyna coraz bardziej prowincją, wzorującą się na słownictwie z „Kercelaka". A więc znów nie... regionalizm, lecz naśladownictwo.

. . . .

(O.) Dekoracje świetlne, reklamy barwne, płonące wieczorami w miastach całego świata, czyż nie urozmaicają sylwety ulic, czy nie dają w skrócie symbolicznym pojęcia o nowym, elektrycznym rytmie naszego życia? Przyzwyczailiśmy się zresztą już do tych orgji świateł, nadużywanych nawet do reklamy kin, wódek, czekolady, obuwia, samochodów. Przechodzimy często, nie patrząc na misterne wiązania elektrycznych barw i nie zastanawiając się, kto był inicjatorem tego nowego środka dekoracji i reklamy świetlnej? Czarodziejem tym był Fernando Jacopozzi, włoch z Florencji rodem.

Fernando Jacopozzi wpadł na swój pomysł w związku z napadami samolotów niemieckich na Paryż. Urządził on za przyzwoleniem władz wojskowych „sztuczną stolicę" w szczerem polu za pomocą gry świateł. Na jego rozkaz właściwe miasto grążyło się w ciemni. Dezorjentował w ten sposób lotników, ratował bezcenne zabytki architektury, życie i mienie mieszkańców Paryża. Bomby niemieckie padały na zagony, artylerja przeciwlotnicza miała ułatwione zadanie bronienia terenu przed powietrzną inwazją.

Jacopozzi święcił wielkie trjumfy, jako pomysłowy dekorator świątyni Angkory na wystawie kolonjalnej w Vincennes. Do Paryża zjeżdżali z całego świata technicy elektryczni, by zapoznać się z pomysłami utalentowanego Włocha. Reklamy świetlne znanych domów towarowych, jak „Louvre", „Bon Marché", „Galeries Lafayette", powtarzano później w New-Yorku, Londynie, Berlinie, Wiedniu i Warszawie. Fernando Jacopozzi zmarł w 54 roku życia. Zmodernizował on zupełnie nocny wygląd miasta. Czyż nie należy się, byśmy zapamiętali nazwisko tego „czarodzieja światła"?

Zamach na niemieckiego radcę poselstwa w Moskwie



DR. VON TWARDOWSKI, NIEMIECKI RADCA POSELSTWA W MOSKWIE, NA KTÓREGO WYKONAŁ NIEUDANY ZAMACH J. STERN, STUDENT. SKAZANO GO NA ŚMIERĆ. VON TWARDOWSKI PO WYLECZENIU SIĘ Z RAN OTRZYMAŁ NOMINACJĘ NA POSŁA NIEMIECKIEGO W KOWNIE

Fot. New-York Times

Od czwartku do czwartku

Najważniejsze wydarzenia tygodnia

Kroki nieprzyjacielskie w Szanghaju zostały zawieszone i rozpoczęto rokowania o definitywne zawieszenie broni.

Z pod Szanghaju odpłynęły krążowniki i torpedowce japońskie, powracając do portów macierzystych.

Bunt dawnych wojsk chińskich przeciwko rządowi mandżurskiemu rozszerza się; zagrożony jest Mukden, gdzie ogłoszono stan wojenny. Żołnierze mordują oficerów, którzy sprzymierzyli się z Japończykami.

Podczas rewizji, dokonanych w koszarach oddziałów szturmowych hitlerowców, wykryto dokumenty, stwierdzające przygotowania do „marszu na Berlin" i zamachu stanu, oraz składy broni i amunicji.

Sesja zwyczajna Sejmu i Senatu została zamknięta po uchwaleniu budżetu na rok 1932/33.

WALKI JAPOŃSKO-CHIŃSKIE W SZANGHAJU





Oddział marynarzy japońskich zajmuje dzielnicę Cziapei w Szanghaju.

Żołnierze chińscy rzucają granaty w wojska japońskie.

Doraźny wyrok na chińczyku schwytanym na ulicy Cziapei podczas walk: japończyk ścina głowę jednem uderzeniem miecza.

Dzielnice Cziapei po zbombardowaniu przez artylerję japońską.





Rozruchy spowodowane przez bezrobocie

Tysiące bezrobotnych urządziły „marsz głodnych" przez Detroit i obsadziły słynne zakłady samochodowe Forda

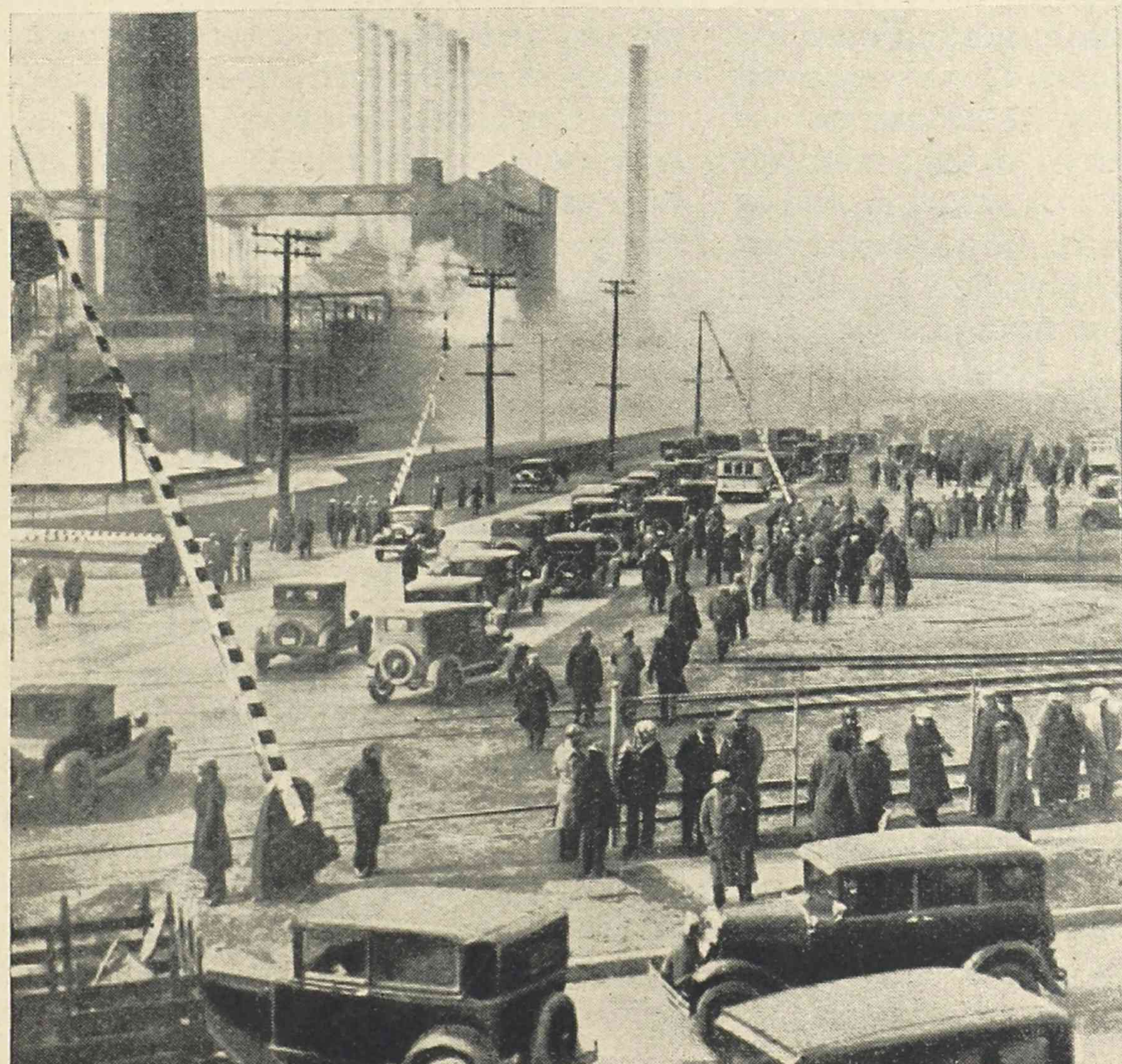
Fot. „The New-York Times"





Wśród stawiających opór policji demonstrantów dokonano aresztowań

Policja zarządziła obronę: bomby gazowe, granaty i karabiny były w akcji. Zabito i raniono wielu robotników

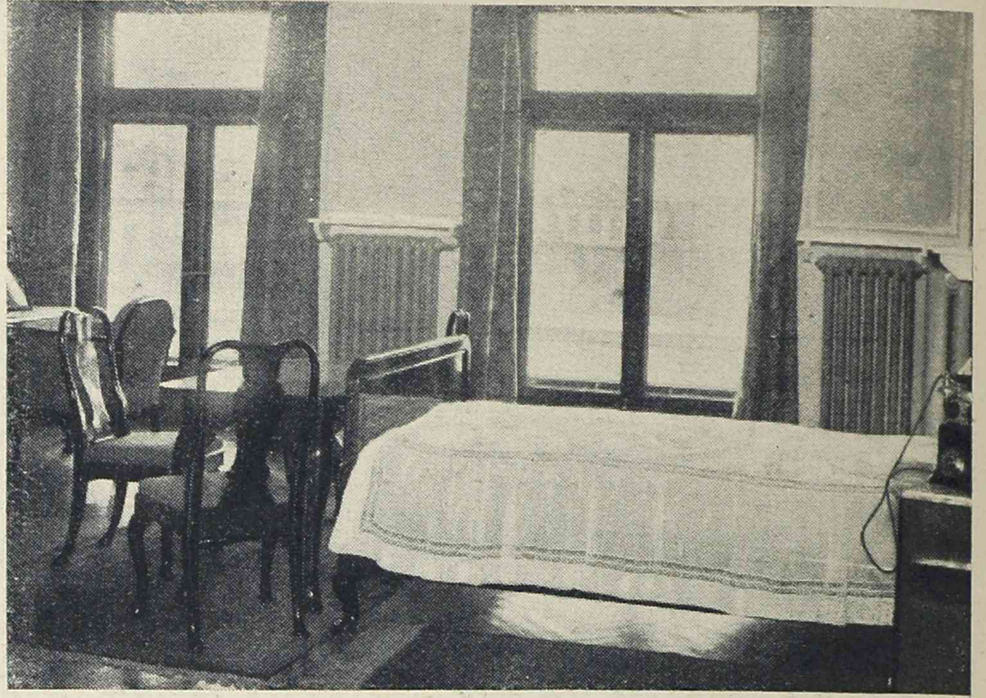






DOM PRZY UL. KRÓLEWSKIEJ NR. 3

Fot. Marjan Fuks



SYPIALNIA I. KREUGERA

IVAR KREUGER W WARSZAWIE

Tragiczna i nieoczekiwana śmierć wielkiego finansisty i potentata przemysłu zapałczanego odbiła się echem szczerego współczucia na całej kuli ziemskiej. Zarówno prasa europejska, jak i amerykańska poświęciła zmarłemu szereg artykułów, wyrażając jednogłośnie żal po stracie, jaka dotknęła wielki przemysł. Niezależnie od tego opublikowano mnóstwo szczegółów biograficznych, a nawet anegdotycznych, oraz wspomnień, charakteryzujących Kreugera, jako człowieka.

Ivar Kreuger odegrał też swoją rolę w życiu gospodarczem Polski, będąc jednym z twórców „Polskiego Monopolu Zapałczanego", posiadającego, jak każdy zresztą monopol, swoich zwolenników i przeciwników. Dzięki temu, osoba szwedzkiego miljardera, który swój pracowity żywot nagle i przedwcześnie zakończył kulą rewolwerową, nie jest nam zupełnie obca.

Do znanych szczegółów o życiu i pracach Kreugera, jego interesach, podróżach, planach gospodarczych, możemy dodać jeszcze kilka informacji związanych bezpośrednio z Polską. Dla wielu niespodzianką będzie zapewne wiadomość, że Ivar Kreuger posiadał w Warszawie własne mieszkanie.

W pięknym gmachu przy ul. Królewskiej № 3, w którym mieszczą się biura monopolu zapałczanego, znajduje się prywatny apartament Kreugera, w którym zatrzymywał się podczas pobytu w Warszawie.

Mieści się on na piątem piętrze. Na drzwiach, oznaczonych numerem piętnastym, błyszczy metalowa tabliczka z jednem, tak niedawno jeszcze magnetycznem słowem: Kreuger.

Jest to piękny, czteropokojowy apartament, z którego okien roztacza się rozległy widok na Krakowskie Przedmieście i część placu marsz. Piłsudskiego. Urządzony spokojnie, zupełnie nowocześnie, posiada przedewszystkiem wspaniałą kuchnię, która zachwyciłaby najbardziej wymagającą gosposię, oraz pokój kredensowy, zaopatrzony obficie w porcelanę szkło, i bieliznę stołową na kilkadziesiąt osób.

Z obszernego przedpokoju po lewej ręce wejście do apartamentów Kreugera — po prawej do pokojów sekretarzy, oraz do olbrzymiej łazienki.

Pierwszy pokój — to sypialnia. Na środku szerokie, mahoniowe łoże; po obu stronach, na nocnych szafkach, aparaty telefoniczne — jeden wewnętrzny, drugi międzymiastowy. Pod oknem maleńka toaleta, świadcząca, iż potentat ten niewiele czasu poświęcał swojej osobie. Pozatem mahoniowy stół, kilka krzeseł i foteli wybitych ciemnozieloną materją i wielka lustrzana szafa.

Z sypialni wchodzimy do wielkiego, o trzech oknach salonu, którego umeblowanie utrzymane jest w kolorach złoto - morelowych. Z pod białych pokrowców wyglądają zgrabne złote nóżki foteli i krzeseł w stylu Ludwika XVI. Niemal połowę jednej ściany zajmuje olbrzymi kominek. Wielką płytę z szarego marmuru podtrzymują dwa bronzowe Sfinksy. Na palenisku brzozowe kłody zdają się oczekiwać, by zapłonąć wesołym ogniem na powitanie gospodarza, który już tu nigdy nie wróci... Na ścianie wisi dużych rozmiarów kopja Matejkowskiego obrazu „Żacy krakowscy".

Z salonu prowadzi wejście do małego gabinetu, urządzonego z najwyższą prostotą. Duży stół, fotele obite ciemną materją, podręczna bibljoteka, w której widzimy kilkadziesiąt fachowych dzieł z dziedziny ekonomji i skarbowości. Ciężkie pluszowe firanki zasłaniają zupełnie okna. Na ścianie rodzajowy obraz Masłowskiego.

Największy pokój przeznaczono na jadalnię. Być może, iż Kreuger, w miarę zacieśniania się jego węzłów z Polską, zamierzał na dłużej przybywać do Warszawy i dawać upust słynnej swojej gościnności.

Z mieszkania swego przy ul. Królewskiej potentat zapałczany korzystał zaledwie dwukrotnie. Po raz pierwszy odwiedził stolicę w r. 1928 i zabawił w niej parę dni, prowadząc pertraktacje w sprawie monopolu zapałczanego. Drugi, a zarazem ostatni raz, był na wiosnę r. 1930, a wizyta jego trwała zaledwie kilka godzin.

Przyjechał rano, wykąpał się, przebrał i zaraz poszedł na dłuższą konferencję do ministra skarbu. W południe spożył śniadanie u ministra Spraw Zagranicznych, p. Zaleskiego. Następnie wrócił do siebie, przyjął dwóch czy trzech interesantów, zrobił zawód reporterom, polującym na wywiad, i wieczorem odjechał.

Jednak mimo stosunkowo bardzo



SALON



Fot. Marjan Fuks

POKÓJ STOŁOWY

krótkiego pobytu i nawału pracy, zdążył się zainteresować Warszawą, która zrobiła nań wrażenie sympatyczne. W rozmowie z jednym z dyrektorów monopolu zapałczanego zaznaczył, że postara się na dłużej przyjechać do Polski i zwiedzić przedewszystkiem stolicę.

Korzystając z uprzejmości generalnego konsula szwedzkiego w Warszawie, a zarazem naczelnego dyrektora zapałczanego, pułk. Carla Herslowa, możemy podzielić się z czytelnikami jego opinją o Kreugerze, jako człowieku.

— Ivara Kreugera znałem — mówi p. konsul Herslow — od dziecka. Chodziliśmy razem do szkoły technicznej w Sztokholmie, gdzie zaczęła się nasza przyjaźń. O Kreugerze można mówić tylko dobrze. Był on gentlemanem w całem tego słowa znaczeniu. Dzielność, uczciwość, prawość, rzadko, zwłaszcza w dzisiejszych czasach, spotykana. Jeśli chodzi o jego działalność, był znakomitym fachowcem i niezwykle szybko obejmował całokształt każdego interesu. Załatwiał sprawy jasno, zwięźle i krótko. Uczciwie odkrywał swoje karty i momentalnie też orjentował się w grze przeciwnika. Jako człowiek prywatny, był pełen prostoty, nadzwyczaj miły i łatwy w obejściu. Cechowała go przedewszystkiem skromność zarówno w życiu codziennem, jak i światowem. Nie znosił odznaczeń, ani wyróżnień. Posiadał ordery niemal wszystkich państw, które przechowywał w neseserze.

Był przytem człowiekiem bardzo odważnym. W czasie jednej z podróży do Ameryki, spacerując po pokładzie statku, zobaczył, jak mała dziewczynka, przechyliwszy się przez burtę, wpadła do morza. Na pokładzie nie było nikogo. Kreuger, nie namyślając się, zrzucił palto i marynarkę, skoczył i wyratował maleństwo. Wkrótce potem otrzymał od rządu amerykańskiego medal za ratowanie tonących. O odznaczeniu tem najbliższa jego rodzina dowiedziała się w jakiś czas zupełnie przypadkiem.

— Przeważnie serca ludzi bogatych nieczułe są na niedolę ludzką. Kreuger był pod tym względem wyjątkiem. Bezimiennie, po cichu, wydawał ogromne sumy, pomagając prawdziwemu nieszczęściu. Wielu młodych ludzi dzięki niemu mogło się kształcić i wyrastać na pożytecznych obywateli. Nie mówię już o najbliższej rodzinie mego przyjaciela, którą otaczał opieką, pieczołowitością i dostatkiem. Nie mając żony, ani dzieci, musiał w inny sposób wyładowywać potrzeby serca. Największem jego marzeniem była wizja szczęśliwej, zgodnie ze sobą współżyjącej ludzkości, wolnej od bezrobocia i klęsk ekonomicznych. Marzył, że będzie jednym z tych, którzy przyczynią się do realizacji tej pięknej wizji.

— Często myślę — mówi konsul Herslow — o tragicznej śmierci mego przyjaciela, która dla wszystkich jego znajomych była ciosem niespodziewanym, i staram się doszukać jej przyczyn. I po uwzględnieniu wszelkich możliwości, doszedłem do wniosku, że bezpośrednim jej powodem nie były ciężkie czasy i trudności materjalne. Niewątpliwie stan interesów Kreugera w ostatnich czasach był bardzo ciężki, jednakże nie beznadziejny. Złe czasy przeżywają obecnie wszyscy; i Kreuger nie był wyjątkiem. Wyjście napewno znalazłoby się. Ja raczej skłonny jestem twierdzić, że do samobójstwa tego dzielnego i szlachetnego człowieka przyczynili się źli i podstępni ludzie, stwarzając dokoła niego atmosferę niewiary i podejrzenia, której on nie mógł znieść. Prawdziwą tajemnicę śmierci zabrał ze sobą do grobu. Nie pozna jej prawdopodobnie nikt. Ludzkość poniosła stratę wielką. Ubył człowiek dzielny, prawy i szlachetny, człowiek, który pracował dla przywrócenia dawnego dobrobytu i przezwyciężenia ogólnego kryzysu, jaki zapanował na całym świecie.

j. s. w.

Pruski Książę, jako Kapelmistrz



JOACHIM KSIĄŻĘ HOHENZOLLERN JEŹDZI PO STANACH ZJEDNOCZONYCH Z KONCERTAMI, DYRYGUJĄC ORKIESTRĄ SYMFONICZNĄ

MIECZYSŁAW FIJAŁKOWSKI

DZIWNA PARAFJA

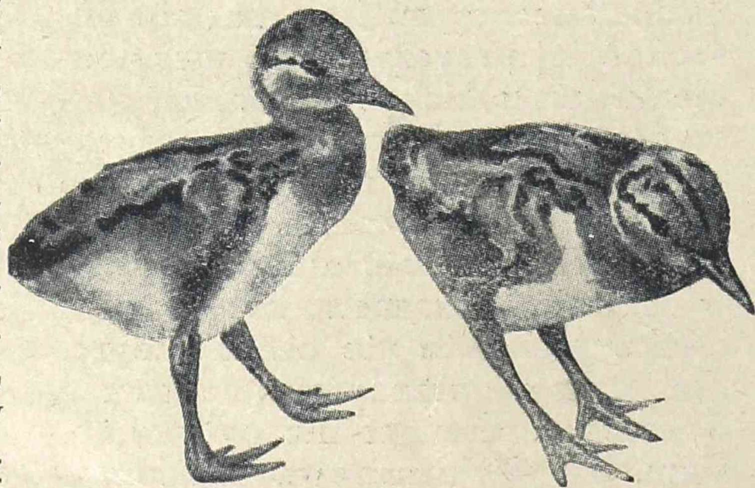
I.

Jako lekarz wojskowy, przebyłem całą niemal wojnę Europejską i wszystkie polskie. W roku 1921 po zawarciu pokoju Ryskiego miałem już szpakowatą czuprynę i tyle doświadczenia, jakbym żył ze sto lat, choć nie liczyłem jeszcze czterdziestu. Kieszeń miałem pustą, a wszystkie stanowiska po większych miastach były zajęte przez lekarzy cywilów, którzy przez ten czas porobili majątki. Zato ja byłem sześć razy ranny i nosiłem Virtuti, a wyprawiwszy na tamten świat tysiące z tych, co walczyli za Polskę, inaczej jakoś patrzyłem na rzeczy, które mnie otaczały, niż przeciętny miłujący spokój obywatel przyszłych stanów Europejskich. Zkolei chciałem jakoś urządzić sobie życie. W stolicy nikt mnie nie znał, postanowiłem więc zacząć od prowincji. Przyszła pewnego dnia wiadomość, że w miasteczku X., położonem gdzieś na południu, między lasami i wzgórzami nad rzeką, zmarł niedawno jedyny lekarz... i jakoś nikt nie kwapił się zastąpić nieboszczyka. Miejscowość podobno cudowna, ludzie prości, chorób coniemiara, tylko dziura — niemal tam, gdzie djabeł dobranoc mówi, jak to się gwarzyło w pułku.

Nie było wyboru — pojechałem. Od stacji kolejowej kilometrów dwadzieścia, szosa zapomniana, górzysta srodze i wyboista. Dorożkarzowi memu w drodze koń zdechł na kolkę, musiałem więc najmować po nocy chłopskie konie. Wreszcie, po dwugodzinnej eskapadzie, nad ranem dojeżdżałem do miejsca przeznaczenia. Ranek był majowy, pełen najsłodszych woni. Zjeżdżaliśmy ze stromej góry, a przed nami roztaczał się jedyny w swoim rodzaju widok. Miasteczko, rozrzucone w nieładzie dokoła wzgórza, na którem wznosiła się strzelista wieżyca starego kościoła, w gotycko-nadwiślańskim stylu. Obok, na drugiem wzgórzu, widniały mury renesansowego pałacyku, otoczonego drzewami z czasów Wielkiego Sejmu. Między temi dwoma wzgórzami, królującem nad okolicą, lśniła pośród kwitnących ogrodów wstęga rzeczki. Wschodzące słońce i nocne opary, unoszące się nad doliną, nadawały krajobrazowi urok jakiś nieznany. Chłopski wózek zjeżdżał powoli z góry, podskakując na kamieniach; począłem rozmyślać nad tem, że ów malowniczy krajobraz, który mię wchłaniał teraz w siebie, to nie będzie jedno czy też dwudniowy postój — jak na wojnie, ale kawałek życia, które oczekiwało na mnie, życia niewiadomego, pełnego może niespodzianek lub zawodów i rozczarowań.

Chociaż... Co mnie tu mogło spotkać w tym kącie zapadłym — mnie, który zaglądałem zalotnie śmierci w oczy, jak dziewczynie, a który miałem poza sobą pierwszą młodość i wszystkie jej wzloty i rozczarowania? Przecie jechałem tu, jak ów bohater Jacka Londona między wieczne śniegi w poszukiwaniu złota. Tylu się dorobiło, dlaczegóż więc ja nie miałem zapuścić wędki w rodzime wody? Zresztą... Wzamian za dobrobyt, pragnąłem dać z siebie wszystko, czego mię doświadczenie podczas tylu lat ofiarnej służby na froncie nauczyło. Tylko, że tam pracowało się z myślą o wielkiej przemianie, a dziś chciało się zakosztować trochę wygodnego życia. A nuż los się uśmiechnie?...

Takie oto myśli nawiedzały mą głowę, gdy bryczka poczęła wspinać się z pełnej oparów doliny w górę, między porozrzucane domki, tonące w kwitnących sadach, i stanęła po dziesięciu minutach skakania na fantastycznym bruku w rynku obok apteki pana Trzmiela, zalecanego mi przez kolegów, jedynego w tym zakątku człowieka, na którego poparcie mogłem liczyć. Bo cóż ów aptekarz znaczył bez doktora? Tyle co ramy bez obrazu. Wyobrażałem sobie, że niecierpliwie wyczekiwał mego przyjazdu, a miesiąc bezkrólewia lekarskiego — musiał był trochę dać mu się we znaki. Podobno mieszka tu jeszcze jakiś felczer — zawsze nie to, co doktór.



O siódmej rano apteka była zamknięta. Woźnica mój zaczął energicznie ciągnąć za drut skręcony w kółko, wystający ze spróchniałej dziury, a ja tymczasem rozglądałem się po rynku. Stał tam ratusz, przypominający architekturą stare domostwa Kazimierza, stała obdrapana bożnica o kształtach leżącej kozy, wieża strażacka, na której powiewała białoczerwona brudna chorągiew, i mnóstwo domów z bardzo dawnych czasów, domów mogących iść w zawody pod względem architektury z domami w Zamościu. W środku był ogród, w którym przeważały olbrzymie lipy, pamiętające jeszcze czasy przedrozbiorowe. Nad miastem wznosiła się ogromna góra, porosła strzelistemi świerkami, i szare mury kościoła, który poważnem spojrzeniem pustych okien swej wieży ogarniał całą, sobie poddaną okolicę, pełną wiosennych zapachów i słońca.

Tymczasem dzwonek nie przestawał chrapliwie dzwonić, aż zniecierpliwił się mój kmiotek i zaklął siarczyście. Po chwili drzwi otworzyły się i stanęła w nich jakaś srodze roznegliżowana i dawno nie myta piękność, z włosami w nieładzie, i zapytała:

— Czy do chorego?

Zdziwiłem się.

— Przecie tu nie doktór.

— Wszystko jedno. Doktora niema, więc pan aptekarz sam praktykuje.

— Nie do wiary!

— Właśnie przed dwoma godzinami robił operację, teraz śpi.

— Operację?

— Powiedział, że gdyby nawet kto umierał, nie pójdzie.

— Ja właśnie przyjechałem zastąpić pana aptekarza przy chorych.

Piękność otworzyła szerzej zaspane oczy.

— Pan aptekarz był zapewne powiadomiony o dniu mojego przyjazdu. Jestem doktór X.

Piękność drgnęła, a chwyciwszy garderobę w obie rączki, zaczęła ją przyciskać do łona, szczerząc białe zęby z wdziękiem, sławnym zapewne na całe miasto.

— To pan doktór?

— Taak...

— Ależ ja przepraszam...

— Niema za co.

— Ja bardzo przepraszam... Pan będzie łaskaw do salonu — zaraz pójdę obudzić pana aptekarza.

Tanecznym krokiem wskazała mi drogę.

Wybiegła, zostawiając mnie sa-

mego. Salon był osobliwy: przedewszystkiem miał obicie w kraty, a w każdej z nich mieścił się mały „landszaft", wyobrażający zachód słońca nad stawem oraz młyn — w pokoju było więc tych młynów nad stawem ze 350 i tyleż zachodzących słońc. Przyprawiało to o zawrót głowy. Wśród tych młynów wisiał portret kobiety zwiędłej i sztucznie upozowanej, otoczony wieńcem pogrzebowym ze wstęgami. Pewnie nieboszczka pani aptekarzowa. Pod portretem stała wytarta otomana z wyszytym wizerunkiem kota - angory, obok parę krzeseł o niepewnych nogach i stół przykryty brudnym dywanem. Na stole porcelanowy wazon z olbrzymim bukietem papierowych kwiatów, które wydawały martwy szelest za każdym krokiem po spróchniałej i trzeszczącej posadzce. W rogu stało pianino, a nad niem wisiał kask strażacki i skrzyżowane dwie siekiery. „Pan aptekarz widać jest naczelnikiem straży" — pomyślałem.

Zaskrzypiały drzwi i stanął w nich mężczyzna o nieokreślonym wieku, nieokreślonym zaroście i nieokreślonej twarzy, w ubraniu, naprędce zarzuconem na nocną koszulę. Stał i milczał.

— Jestem doktór X.

Ręką, którą uścisnąłem, wskazał mi fotel.

— Przyjechałem objąć posadę.

Usiadł i pokiwał głową.

— Jestem teraz na pańskie usługi.

Znów kiwnął głową.

— Ale pan, jak słyszałem, dawał sobie doskonale radę bezemnie.

Milczał.

— Podobno nawet operacje pan robił?

Znów ani słowa; zaczął kiwać melancholijnie głową, skubiąc zarost większy z lewej strony, niż z prawej.

— Jaki tu zdrowostan? — zapytałem.

Skrzywił się i machnął ręką.

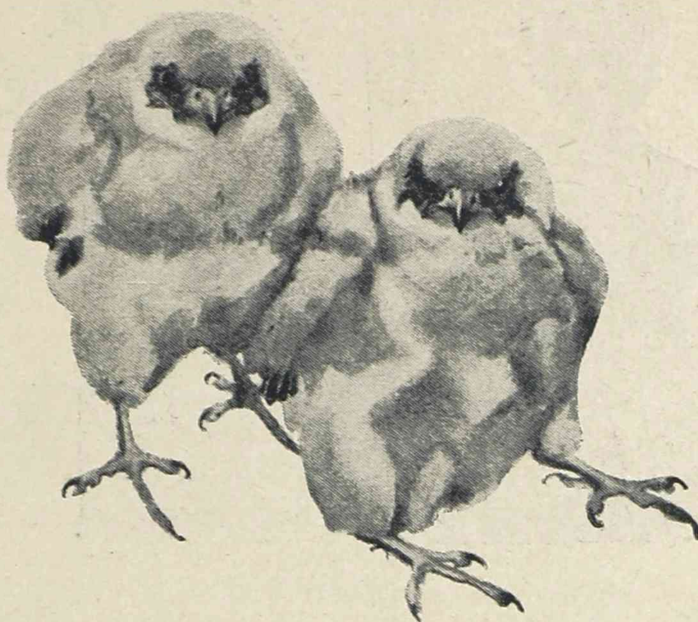
— Czy panują jakie zakaźne choroby?

— Bida — wyrzekł z trudem i stęknął.

— No, to choroba chroniczna, nietylko tu ale i w stolicy. Mnie chodzi o zakaźne: tyfus, szkarlatyna, jaglica?

— Wszystko jest — rzekł i westchnął. Trudno było z niego coś wydobyć.

Miał, okazało się, o życiu i zadaniach człowieka wyobrażenie pełne zaściankowego fatalizmu, które streścił w aforyzmie, wyrzeczonym do mnie podczas pewnej rozmowy: „Nic się nigdy nie stanie, a cokolwiek uczynisz, zawsze żałować będziesz". Nigdy mi się nie przytrafiło spotkać podobnej syntezy optymizmu i pesymizmu. Po rozmowie z trudem zakończonej oświadczył mi, że wynajęte dla mnie mieszkanie czeka już oddawna i że trzeba, abym poszedł spać.



Mieszkanie przeszło wszelkie moje oczekiwania: w ogrodzie, w staroświeckim domku, dwa pokoje na pierwszem piętrze z widokiem na dwa wzgórza kościelne i pałacowe. Za to gospodyni, potrójna wdowa po wędliniarzu, komorniku i ostatnio właścicielu zakładu pogrzebowego — była niepozbawiona uroku wprost romantycznego. Kobieta lat pięćdziesięciu, stukilogramowej wagi i ogromnego doświadczenia życiowego. Przyjęła mię potokiem słów, z których nietylko dowiedziałem się, że ś. p. wędliniarz był alkoholikiem, komornik nałogowym graczem, a właściciel zakładu pogrzebowego lekkoduchem i kobieciarzem, ale że wszyscy trzej niewiele byli warci, czem nie przejmowała się nigdy. Wie, że każdy mężczyzna jest świnia i że jest zbyt tępy, aby módz zrozumieć kobietę. Całe życie żałować będzie, że ma syna a nie córkę, i to takiego syna, który już dziś więcej wie, niż panowie: wędliniarz, komornik i ostatni nieboszczyk ojciec jego, razem wziąwszy. Przewodzi nad wszystkimi łobuzami na okolicę, uczyć się nie chce, a na domiar złego wymyślił jakiś nowy środek wybuchowy, którym o mało nie wysadził w powietrze synagogi, za co ona, matka, miała zatarg z żydowskim magistratem i przepadła jej żydowska klijentela. Tu dowiedziałem się, że moja gospodyni ma przedsiębiorstwo maglowe i że obsługuje nietylko całe miasto, ale i przedmieścia. Usypiałem już w łóżku, gdy jeszcze wkroczyła z oświadczeniem, że jej synalek dopiero co zwichnął nogę, ale żebym spał: bo taki gałgan może z operacją poczekać do wieczora. Nie chciało mi się protestować, gdyż zasypiałem właśnie snem kamiennym. Obudził mię jakiś odgłos. Okno było otwarte, a pokój pełen balsamicznego powietrza.

To dzwon kościelny bił na Anioł Pański... Dziwny dzwon, właściwie jakby kilka dzwonów, których serca, bijące nierównomiernie, dawały jeden harmonijny akord, za każdym razem inny, tworząc melodję pełną niezapomnianego wyrazu. Słyszałem w życiu niejedne dzwony — takiego nie pamiętam. Była w nim zaklęta skarga nigdy niekończącego się cierpienia serc ludzkich i drżało srebrną nutą ukojenie, kończące się echem gdzieś w błękitach. Wieżyca kościoła, oblana purpurą zachodzącego słońca, panowała nad okolicą, jak słup ognisty, a cień jej padał na przeciwległe wzgórze i znaczył je ciemną smugą, która sięgała białych murów pałacu, wyłaniającego się zpośród świerków, jak fragment jakiejś ballady. Wśród zielonego tła widać było, jak we mgle, zarys balkonu i majaczejącą na nim jakąś postać, zasłuchaną w melodję dzwonu — tak mi się przynajmniej zdawało.

. . . .

Ocknął mnie ostry głos mojej gospodyni. Stała nademną z dymiącym półmiskiem i brudną serwetą.

— Zjeść i do roboty, bo pacjenci czekają: od rabina przysłali — bo podobno rabinowa nie może urodzić, a burmistrz ma boleści z prawej strony; pewno ślepa kiszka, trzeba będzie zoperować.

— No, a pani syn?

— Uciekł na zwichniętej nodze — to może i lepiej — bo by się jeszcze panu doktorowi coś z nim niedobrego przytrafiło, ale... ale — i komendant policji po imieninach dostał apopleksji — trzeba pijawki. Od kogo pan doktór zacznie?

Byłem oszołomiony — z miejsca trzy poważne wypadki. Połknąłem na poczekaniu owe jajka i pomknąłem do chorych. Moja praktyka trwała całą noc, musiałem puszczać krew, stawiać bańki, a nad ranem urodziło się dziecko. Wróciłem spracowany i pełen jaknajlepszej otuchy na przyszłość.

(D. c. n.).



Pod płaszczem Allaha

KLASZTOR I SZKOŁA

Wśród Berberów często spotyka się szczepy, rządzone teokratycznie. Władzę całą sprawują tam „Imami" czyli kapłani i „marabuci" czyli święci. Są oni wyrocznią we wszystkich sprawach życiowych. Nawet mianują wodzów, gdy przyjdzie do walki orężnej w obronie rodzinnych „duarów" — obozowisk. Są też sędziami w sprawach kryminalnych, pozostawiając cywilne sądownictwo specjalnemu urzędnikowi — kadiemu. Ale i jemu wchodzą w paradę, stanowią bowiem instancję odwoławczą w każdej sytuacji życiowej.

Marabutów wychowuje klasztor — „Zauija". W jednem z osiedli kabylskich Kenadsa istnieje bractwo reguły Sidi Mohammeda ben Bu-Ziane. Wzięło ono sobie za zadanie szerzenie pokoju i miłosierdzia.

Nieraz podczas ciemnej nocy do „zauija" wpada zbrodzień, uciekający przed żandarmem francuskim. Otrzymuje tu pewny azyl. Jeżeli jest zabójcą, musi wynagrodzić rodzinie przelaną krew zamordowanego. Jeżeli złodziejem, marabut domaga się, aby skradzioną rzecz zwrócił. Tu go nikt nie ruszy i sądzić nie będzie.

W Kenadsa nie uznaje się kary śmierci, a o ile się ją stosuje, to jedynie na usilne żądanie rodziców ofiary lub bliskich. Niecierpi się też złoczyńcy, działającego na szkodę własnego gniazda; czeka go wybatożenie na placu publicznym. Bywa też, że w czasie egzekucji zgłosi się świadek z prośbą o łaskę dla skazańca. Są to najczęściej kobiety, które wzamian za uwolnionego od publicznej kary ofiarowują niewolnika albo murzynkę.

Kenadsa pod pewnym względem stanowi unikat wśród osiedli berberskich i arabskich: nie ma u siebie żebraków. Żywią się oni w klasztorze, oddając mu pewne usługi, jako wyrobnicy i owczarze. Niema tu też niezgód i pieniactwa; każdą sprawę łagodzi i załatwia władza duchowna.

Dzięki uprzejmości miejscowego urzędnika francuskiego udało mi się dostać do wnętrza tego klasztoru, o co normalnie jest dość trudno. Mahometanie zazdrośnie strzegą swych przybytków zarówno rodzinnych, jak i religijnych przed niewiernymi a w szczególności przed chrześcijanami. Towarzyszy mi jeden z kapłanów Sidi El Abutir, na szczęście, człowiek wychowany w Algierze. Mówi dość dobrze po francusku. Robi wrażenie wcale sympatycznego, głównie dlatego, że nie jest tak okropnie, jak inni derwisze i marabuci, spotykani przed meczetami, brudny, cuchnący, obdarty, fanatyczny i nieprzytomny.

Budynki klasztoru nie przedstawiają nic ciekawego. Biały czworobok z przystawkami, bez okien. Korytarze o ubitym glinianym chodniku. Niewielkie drzwi. Wchodzimy do jednej z sal, wspartej na dość zgrabnych filarach; u góry kopuła, u dołu dość delikatny fryz arabeskowy; ponad nim w małych kolorowych okienkach igrają promienie słońca.

Na podłodze rozłożone dywany z Rabatu i białe płócienne maty. Widzę na nich grupę młodych ludzi. Krępi, o ciemnej cerze. Płonące oczy. Ubrani tylko w „dżelabę", szatę noszoną pod burnusem, na głowie fezy — szeszije. Odbywa się komentowanie Suratów Koranicznych. Prowadzi je jakiś marabut, wyglądający na lat sześćdziesiąt; na głowie ma wielkie turbanisko z charakterystycznym zwojem białosznurym, co ma być oznaką kilkakrotnego pielgrzymowania do Mekki. Słuchają go uważnie młodzi i kilku starszych członków bractwa, opartych w pozach hieratycznych o filary.

Na wychodnem z klasztoru doszedł mych uszu monotonny śpiew z meczetu. To muezzini zawodzili rzewnym, tkliwym głosem psalm poddania się „Malik el Mulkowi" (Królowi Królów).



ZAKLINACZE WĘŻÓW



WYROCZNIA DERWISZÓW

Przewodnik pożegnał mnie słowami „Allah jaunek", — Niech Bóg dopomaga, a ja mu na to „Alejkum salem" — czyli bądź pozdrowiony i żegnaj Sidi el Abutirze.

Obok klasztorów mahometańskich znajdują się zazwyczaj szkoły, przypominające sposobem nauki hedery żydowskie. Maleństwa pracują w szkole „tolba" już od wczesnego ranka. Heder koraniczny wzywa je o wschodzie słońca. Następnie po śniadaniu udają się do szkoły francuskiej, a w samo południe idą na koran. Po obiedzie wracają do szkoły francuskiej, a wieczorem znowu na studja mahometańskich Suratów. Słowem, dziecko nie ma czasu nawet wytchnąć. Zato wałęsa się na swobodzie, gdy rodziców jego nie stać na danie mu nauki. Wówczas rośnie na żebraka lub łobuza. Sidi — nauczyciel ćwiczy dzieci według starych przepisów dydaktycznych, a więc przeważnie uczy na pamięć, przy zbiorowem, śpiewnem, monotonnem powtarzaniu wersetów koranicznych, w izbie nabitej czeredą dziecięcą, siedzącą na podłodze i posługującą się małemi taboretami. O higjenie oczywiście niema mowy, z wyjątkiem szkół francuskich w większych miastach algierskich.

O ile Kenadsa wywarła na mnie wrażenie dodatnie, to w świętym Kairuanie, stolicy prawowiernego



islamu tunetańskiego, nabrałem wraz z całą grupą turystów obrzydzenia i wstrętu do sztuczek derwiszów.

Jest tam „zauija" niejakiego Sidi ben Aissa. Niby meczet, a raczej cyrk czy spelunka, znana z popisów całej szarlatanerji kajruańskiej, igrającej na fantazji i fanatyzmie tłumów, rozpróżniaczonych i rozegzaltowanych. Ściągają one w tysiącznych pielgrzymkach i zostają całemi tygodniami na wielkim odpuście arabskim.

O północy odbywa się widowisko, ścinające krew w żyłach. Taniec szaleńców, kłujących siebie nożami. Dochodzą w tem do nadzwyczajności. Oczywiście przemyślni derwisze operują w dużej części hypnozą, w której sieci wpada niekiedy nawet inteligentny turysta europejski.

Przedstawienie odbywa się w atmosferze przesiąkniętej potem, oliwą i wonią mdlących kadzideł, w zgiełku i rozwydrzeniu całej obdartej i brudnej hałastry. Dzieje się to przy muzyce pierwotnej, a więc waleniu w jakiś drewniany bęben, o kształcie rury, niemiłosiernem rzępoleniu na dwustrunnym wąskim instrumencie i śpiewach ochrypłej czeredy, przypominających wycie psa w obliczu księżyca albo krzyki osła, przykrzącego sobie stanie na uwięzi.

Na środek izby wylatują co chwilę jakieś djabły z wywróconemi oczyma, z pianą na ustach i tańczą dziki jazzband w szaleńczym takcie aż do utraty przytomności. Albo też wsadzają sobie noże w ciało, lub przekłuwają igłami ręce czy usta. Rzucają się na deski, wybijane gwoździami. Igrają z jadowitemi wężami. Słowem, orgja niesamowita.

Całe szczęście, że w tych okropnych obrzędowych szaleństwach nie bierze udziału kobieta arabska, która nawet do meczetu idzie tylko za zezwoleniem swego małżonka i pod opieką zaufanej służącej. Inaczej działyby się bahanalje pełne wyuzdania.

Oto co się dzieje pod płaszczem Allaha w krajach prawowiernych muzułmanów.

X. W. Kneblewski

CO CZYTAĆ?

BELETRYSTYKA CUDZOZIEMSKA

Beletrystyka cudzoziemska na rynku naszym wydawniczym zajmuje znów dominujące miejsce. Mieliśmy lata, gdy produkcja polska równoważyła się poniekąd z tłomaczonemi utworami. Kryzys przesunął punkt ciężkości na korzyść książki tłomaczonej. Trzeba przyznać, że w katalogu nowości wydawniczych znajdują się i powieści cudzoziemskie o walorach atrakcyjnych.

Na czoło należy wysunąć Uptona Sinclair'a „Sylwję" i „Spekulantów". Amerykański ten pisarz, słynny ze swoich pamfletów, zaciekawia oskarżycielstwem, protestem, opozycją w stosunku do swego społeczeństwa. Bywa on nawet okrutny i niesprawiedliwy. Zbyt pochopnie generalizuje ujemne zjawiska. Nie ulega jednak wątpliwości, iż potrafi zaciekawić i to jest najważniejszą atrakcją jego utworów. Powieść Uptona Sinclair'a tłomaczono na wszystkie cywilizowane języki świata. Obecnie wydana „Sylwja" budzi zainteresowanie i egzotycznym kolorytem. Autor skorzystał z młodzieńczych wspomnień żony pochodzącej ze Stanów, graniczących z Meksykiem i dał obraz „Dalekiego południa". Życie zacofanej, wykolejonej arystokracji pod piórem Uptona Sinclair'a przypomina satyryczne obrazy rosyjskich beletrystów, walczących z własnem społeczeństwem. Powieść ta składa się z trzech części: „Sylwja kocha", „Sylwja lawiruje" oraz „Sylwja przegrywa". „Spekulanci" są dalszym ciągiem „Stolicy" (po angielsku „The Capital"). Spotykamy się tu znów z Allanem Montague, który tak zniechęcił się do New-Yorku po zetknięciu się z wielką finansjerą i przemysłem tego miasta - polipa. „Spekulanci" jest utworem walczącym z tą samą klasą społeczną.

W. I. Locke przenosi nas w inną atmosferę. Angielski ten beletrysta jest ulubieńcem wszelkich czytelni. Produkował on bardzo dużo i każda jego książka cieszyła się dużą poczytnością. Autor sympatycznego „Łazika" reprezentowany jest obecnie przez dwie świeżo wydane powieści: „Jeffery" i „Kuglarz". Jako lektura utwory te są pożądanym nabytkiem.

Księgarnia Św. Wojciecha zaznajamia nas z ciekawym pisarzem amerykańskim, Edisonem Marschall'em. Beletrysta ten daje zawsze soczyste, egzotyczne tło i usiłuje zainteresować niezwykłemi przygodami bohaterów. „Wyspa Fok" jest pierwszą jego powieścią, przełożoną na język polski. Przekładu dokonał p. Jerzy Marlicz. Powieści Marschall'a na rynku amerykańskim zdobyły sobie poczytność równą J. Londonowi i Corwoodowi. „Wyspa Fok" napewno dotrze i do rąk młodzieży. Znajdzie ona tu pożądany materjał, karmiący wyobraźnię i sławiący dzielność ludzką.

Do tegoż typu beletrystyki należą utwory argentyńskiego głośnego powieściopisarza Hugona Wasta: „Ta, która nie przebaczyła" oraz „Kamienna Pustynia". Warto jest zaznaczyć, iż powieść ta zdobyła Wastowi argentyńską nagrodę państwową, w sumie 30 tysięcy pesetów, czyli około 125 tysięcy złotych. Jest to więc książka reprezentacyjna. Niewątpliwą aktualność zawiera powieść P. Benoit'a pt. „Fatalna noc w Mukdenie". Oczy całego świata zwrócone są obecnie na pola Mandżurji i Chin. Poczytny, słynny pisarz francuski, znany z dużych zalet narracyjnych swoich utworów, i w tej powieści nie zawodzi.

Miłośnicy talentu Sygrydy Undset z rozkoszą wezmą do ręki jej powieść pt. „Harriet Waage". Bohaterka ta jest arcyciekawym typem kobiety. Szuka ona ukojenia i znaleźć nie może, gdyż życie jej przesłania tragiczny cień małego Ewy. Powieść ta posiada duże walory literackie.

Warto też jest poznać powieść Donn Byrne'a pt. „Dom Kata" oraz subtelny utwór Hermanna Hesse p. t. „Narcyz i Złotousty".

Czytelnik polski ma więc duży wybór w utworach cudzoziemskich beletrystycznych, wypuszczonych obecnie na rynek księgarski.

E. C.



HANDEL na ulicy

Włócząc się kiedyś po ulicach paryskich, zobaczyłem w miejscu dość ustronnem grupę ludzi, z pomiędzy których wyrastał na podwyższeniu jakiś jegomość w średnim wieku, ubrany solidnie i elegancko, a przytem niezmiernie wymowny. Słuchacze otaczający go byli niemal zupełnie zasugestjonowani lawiną jego słów. Podszedłem bliżej i przekonałem się, że ów człowiek o pozorach solidnego kupca zachwala swojemu audytorjum jakiś blaszany instrumencik, który wkładało się w usta i przy pomocy zwykłego gwizdania można było w efektowny sposób wygrywać każdą melodję. I rzeczywiście jegomość wkładał blaszki do ust i grał, jak na czarodziejskiej piszczałce. Naturalnie zaprezentował nam barkarolę z „Opowieści Hoffmana" i arję z „Toski". Rezultat był taki, że wszyscy po kolei zaopatrzyliśmy się w ten genjalny wynalazek, płacąc zresztą po kilkadziesiąt centimów. Po dokonaniu tranzakcji sprytny handlowiec zapakował resztę towaru do eleganckiej walizki, skłonił nam się niedbale i znikł, jak kamfora.

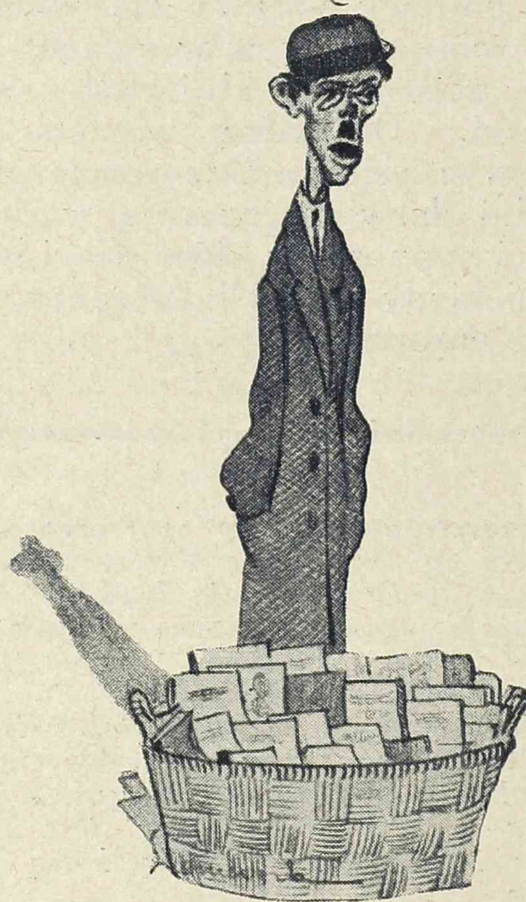


Wróciłem z blaszanym instrumentem do hotelu i mimo wszelkich wysiłków nie udało mi się nigdy wydobyć z niego najmniejszego nawet dźwięku.

W ten sposób zapoznałem się po raz pierwszy z handlem ulicznym w jego klasycznej postaci...

. . . .

Ile razy widziałem potem na ulicach Warszawy sceny tego rodzaju, przypominał mi się zawsze elegancki i wymowny wydrwigrosz paryski. Takich mistrzów jeszcze na



bruku warszawskim niema. Ludzie, którzy tak, jak on, wyglądają, posiadają w Warszawie własne sklepy, odpowiedni personel, posiadają stanowisko społeczne, konto w P. K. O. i bardzo wysoką godność osobistą.

Nasz handel uliczny znajduje się przeważnie w rękach podupadłej inteligencji albo „lumpenproletarjatu".

W pierwszym wypadku jest to najczęściej tylko zamaskowana żebranina. Inteligent, który wychodzi na ulicę, aby coś sprzedawać, jest typem najczęściej odstręczającym. Sprzedaje on nikomu niepotrzebne wykałaczki albo pocztówki w sposób sentymentalny i ponury. Przy każdej sposobności powołuje się na swoją tragedję osobistą, przemawia do nas w imię obowiązku humanitarnego i klasowego. Domagając się solidarności i względów specjalnych, wpycha nam rzecz zbędną.



Jest łzawy, ckliwy, a jeśli traktuje się go choć trochę przychylnie, staje się coraz bardziej nienasycony, coraz bardziej wymagający. Wynika to może stąd, że nędza deprawuje i dezorganizuje wewnętrznie tych, który nie posiadają tradycji umiejętnego borykania się z nią...

. . . .

Jeśli tedy chodzi o mój smak osobisty, wolę spotkać na ulicy zwyczajnego warszawskiego cwaniaka.

Jest on wprawdzie ordynarny, ale za to bardziej rodzajowy, posiada to, co Anglicy cenią tak bardzo, a mianowicie poczucie humoru — humoru, który bardzo często jest nieodzownym składnikiem tego osobliwego handlu. Posiadają oni swoje wyrażenia charakterystyczne, barwne i obrazowe, które wygłaszają zawsze z niesłabnącym temperamentem. Obok monotonnych i krótkich nawoływań słyszy się nieraz zwroty doskonałe, zwarte i soczyste.

W swoim czasie np. sprzedawcy piosenek i rozmaitych broszurek wołali z wielkiem przekonaniem:

— Za jedne dwadzieścia groszy można rozweselić cały dom.

A sprzedawca kwiatów, atakujący nad ranem zblazowanego przechodnia, przemawia poufnie:

— Mam dla pana dziedzica dwadzieścia kilometrów zapachu...



Pewien uliczny księgarz, reklamujący swój towar na placu Napoleona, dodawał zawsze na końcu długiego okresu:

— Pięknym damom ustępstwo...

To jest już wyższy styl handlu ulicznego, styl wyrażający się w formie galanterji nadwiślańskiej.

. . . .

W dobie kryzysu nawoływania handlarzy ulicznych nabierają często cech dotychczas niezwykłych. Handlarze owoców np., którzy zjawiali się ze swojemi wózkami w podmiejskich okolicach, wołali dawniej po prostu:

— Do jabłek, do jabłek, do jabłek...

Ale dziś wołają już inaczej:

— Do jabłek, do słodziutkich, do czerwonych...

Widać, że ciężkie czasy zmuszają prozaiczny handel do oddziaływania na wyobraźnię ludzką, do posługiwania się nawet... poezją...

W ostatnich czasach rozwinęła się znowuż z żywiołową siłą t. zw. sprzedaż książek w koszu.

Niemal na każdym rogu ulicy literatura wabi przechodnia z wędrownego kramiku. Są tu książki złe i dobre, liche i wartościowe, ale wszystkie są tanie. Jest niemal cała kolekcja grzechów lekkomyślnych wydawców, tułają się pragnienia nieziszczone, chybione pomysły, niespełnione sny o sławie i dobrym zysku.

Kiedy cały ruch wydawniczy i handel księgarski zamarł zupełnie, książka w koszu przeżywa epokę swojego renesansu; kiedy wielkie firmy księgarskie chylą się ku upadkowi, przedsiębiorcy z branży ulicznej robią złote interesy. Wyprzedają się całe nakłady, wypróżniają się składy zasobne i dotychczas niedostępne.

Byłoby rzeczą niewskazaną rozpoczynać znowu dyskusję na ten temat, czy sprzedaż książek na ulicy jest objawem dodatnim czy też ujemnym. Na ten temat wypowiedzieli się już wszyscy w specjalnych ankietach. Jedni za, drudzy przeciw. Ale handel uliczny nie czerpie natchnienia z mądrych i logicznych wywodów. Pojawia się przy sprzyjających warunkach i znika bez śladu wówczas, kiedy brak mu istotnych podstaw. W tej chwili wszystko go podsyca i rozwija.

Czy jest pożyteczny? Odpowiem na to faktem niewątpliwym.

Oto jedna z firm nakładowych sprzedała niedawno sześć tysięcy powieści Józefa Weysenhoffa, które ukazały się niegdyś, przed laty jako premjum dla jej abonentów i które przez szereg lat leżały w składach.

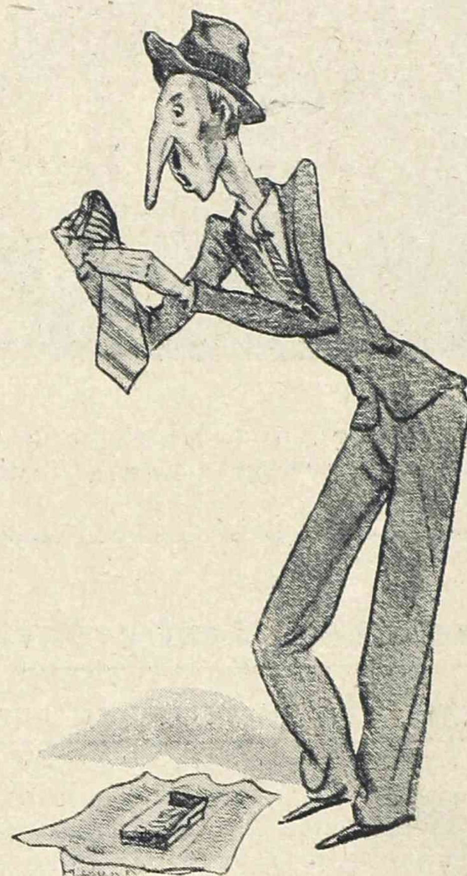
W przeciągu kilkunastu dni tych sześć tysięcy książek zostało sprzedanych na ulicach.

I tak oto, uliczni handlarze książek uczcili mimowoli czterdziestolecie pracy znakomitego pisarza...

. . . .

Niewątpliwie wulgarny i dziki handel uliczny, przekraczając właściwe mu dziedziny, jest bolesną konkurencją dla kupców, którzy wynajmują swoje sklepy, którzy je oświetlają i opalają, którzy utrzymują personel, płacąc przytem podatki i wysokie świadczenia społeczne.

Ale potępienie i krytyka są tylko pasywną formą walki. Trzeba w



tym wypadku szukać nowych metod, trzeba umieć się przystosować do obecnej sytuacji. Sądzę, że te nowe metody błąkają się pomiędzy wrzaskliwym kramem ulicznym a solidnym sklepem, w którym się wciąż jeszcze na klijenta czeka...

Dees.

Tydzień przedświąteczny w Warszawie



ZA ŻELAZNĄ BRAMĄ: SPRZEDAŻ BARANKÓW WIELKANOCNYCH Fot. „Światowid"

Nowa Komedja Verneuil'a w Teatrze Letnim



ŚWIETNA PARA GŁÓWNYCH BOHATERÓW: JERZY LESZCZYŃSKI I MARJA GORCZYŃSKA Fot. Jan Malarski



DYSKUSJA PODCZAS PRÓBY: DYR. CHABERSKI, KURNAKOWICZ, JERZY LESZCZYŃSKI, NIEZRÓWNANY FERTNER

Warszawskie Teatry Miejskie

PREMJERA W TEATRZE LETNIM. Teatr Letni zaprezentuje w drugie święto Wielkiejnocy „Bank Nemo", jedną z najlepszych ostatnich nowości paryskich, doskonałą komedję Verneuil'a, którą wystawił na początku bieżącego sezonu teatr Michodière, i który gra ją z wciąż rosnącym sukcesem już z górą 220 razy. Jest to ostra, ale wesoła satyra na obecne stosunki finansowo-polityczne we Francji, no i w innych krajach europejskich. Sprawa słynnego bankiera Oustric'a, który z kelnera kawiarnianego w ciągu paru lat przedzierzgnął się w potentata finansowego, którego majątek w pewnym momencie obliczano na blisko miljard franków, a który później zarwał łatwowiernych kapitalistów na parokrotnie większą sumę, dostarczyła Verneuil'owi wątku do znakomicie zbudowanej sztuki. Bohaterem jej jest Lebrèche, nowoczesny conquistador. Ze sprzedaży dzienników awansuje na woźnego w „Banku Nemo", opanowuje jego dyrekcję, staje się właścicielem wielkiej instytucji finansowej, dyktuje swoją wolę ministrom, o jego względy ubiegają się najwyższe czynniki państwowe. Towarzyszy mu w tej zawrotnej karjerze miła dziewczynka z bruku paryskiego, która z właściwą kobietom zdolnością asymilacyjną przekształca się — z kokotki — w Egerję wielkich działaczów politycznych i spekulantów giełdowych. Komedja Verneuil'a posiada świetne typy, wyborne role. Góruje nad wszystkiemi Lebreche, ów piekielnie zręczny i przemyślny hultaj, który w niezrównanej interpretacji Jerzego Leszczyńskiego zyskuje swoisty, nieodparty wdzięk, — wdzięk, który w znacznej mierze tłomaczy jego powodzenie. Przewybornym dyrektorem „Banku Nemo" będzie Fertner, który tym razem — nareszcie — sięga po wawrzyny wyższej komedji. Marja Gorczyńska będzie powabną paryżaneczką, Kurnakowicz stworzy doskonały typ życiowego pechowca. „Bank Nemo" będzie widowiskiem, które niechybnie przez długi szereg wieczorów ściągać będzie tłumy publiczności. Ta wesoła, bardzo zabawna komedja w sposób lekki i niezwykle dowcipny porusza najżywotniejsze kwestje finansowe ostatniej doby. A któż dziś nie interesuje się finansami?...

TEATR NARODOWY. „Don Karlos" robi stale „komplety". Od czasu „Don Żuana" nic podobnego nie widziano. Od kasy odchodzą co wieczór setki osób, które, nie zaopatrzywszy się w bilety zawczasu, już nie znalazły miejsc. *Avis aux lecteurs!*

TEATR NOWY. „Święty płomień" zaczyna robić konkurencję Teatrowi Narodowemu. Sztuka Maughama liczy już czterdzieści z górą przedstawień, a powodzenie jej wciąż rośnie, zainteresowanie publiczności wciąż się wzmaga. — Dobra sztuka — powiadają bywalcy teatralni — jak dobre wino: zawsze się „wyrobi". Trzeba tylko cierpliwości.

ODZNACZENIE ARTYSTKI



P. ZOFJA CZAPLIŃSKA, ŚWIETNA I ZASŁUŻONA ARTYSTKA DRAMATYCZNA, ZOSTAŁA UDEKOROWANA „ZŁOTYM KRZYŻEM ZASŁUGI" Fot. St. Brzozowski

„Poprostu truteń"

Nowa komedja Br. Winawera, wystawiona w Teatrze Małym, opowiada nam warszawską anegdotę o niejakim Żyku, ziemianinie, a właściwie trutniu, kombinatorze. Korzystając z „konjunktury", chce on naciągnąć skarb na subwencję pod pozorem archeologicznych studjów. Znalazł bowiem w swoim obdłużonym majątku jakąś domniemaną czaszkę scyta. Że przytem posiada w sferach miarodajnych stosunki, uważa ten sposób oszukania skarbu za prawdopodobny. Na pomyśle tym funduje wiele nadziei. Traf zdarzył, iż „lekkomyślny" ziemianin, poprostu truteń, przyjechał autem na ulicy niewydarzonego lecz uczciwego astronoma. Ten nieszczęśnik, opowiadając swoje dzieje, poddaje mu mimowoli inny, lepszy pomysł. Żyk zacznie kołatać do skarbu po subwencję na eksploatację pechblendy. Jest już prawie u celu, lecz prasa cokolwiek przeszkodziła mu w tym złotym interesie naciągnięcia rządu. Wyładowuje więc swoją żółć na rzeczoznawcy, prywatnym astronomie, inżynierze Rennie.

Żart sytuacyjny umieścił Winawer w dziwnym zbiegu okoliczności: gdy opinja przypuszcza, iż odkryła „cwane oszustwo", „poprostu trutnia", Renn przeprowadził badania gleby i jest zaskoczony obecnością pierwiastków blendy.

Komedja Br. Winawera dąży do ośmieszenia i wychłostaina różnych niebieskich ptaszków, żerujących na skarbie państwa. Przy sposobności dostało się i ministerjalnym „Mopsom", kabalarkom, brydżystom, mistykom. Dwa akty tej satyry odbywają się w willi właścicielki zakładu kosmetycznego zakochanej w trutniu (Mila Kamińska). Akt trzeci wprowadza nas do pracowni uczonego (Maszyński). Trutniem jest Mierzejewski, a jego przyjacielem „Mopsem" M. Zelwerowicz.

And. G.

Konkurs Chopin'a

Zagadnienie muzykalności stolicy naszej wysuwa się w konkursie szopenowskim na pierwsze miejsce przed mniej ważnem zagadnieniem — kto z młodych laureatów, czy która z grup narodowościowych otrzyma pierwszą nagrodę.

Ważność sprawy publiczności narzuciła w danym razie — publiczność sama.

Nie spodziewano się ani wśród muzyków, ani wśród krytyków muzycznych tak wielkiego zainteresowania się konkursem. Nie spodziewano się odkryć nagle w Warszawie, rzekomo tak niemuzykalnej, — tylu wytrawnych, czujnych i cierpliwych znawców sztuki szopenowskiej.

W ciągu dwóch tygodni sala Filharmonji była stale pełna, jeżeli nie przepełniona. Mimo przedświątecznego czasu, mimo kryzysu, mimo dni szkolnych i dni pracy, — na sali Filharmonji zgromadzały się tłumy, czekające aż do samego końca produkcyj, które przecież niejednokrotnie trwały do trzech godzin bez przerwy.

Doszło do tego, że w tramwajach i autobusach, krążących w okolicy Filharmonji, na pół godziny przed rozpoczęciem i skończeniem produkcyj nie słyszało się nic innego, jak tylko uwagi o granych przed chwilą polonezach, sonatach, mazurkach i nokturnach.

Jedni twierdzą, że ta postawa publiczności świadczy o znawstwie, drudzy, że to tylko gapiostwo. Ci drudzy — nie mają słuszności. Trudnoby posądzać o zwykłe gapiostwo, trwające przeszło dwa tygodnie i to podczas produkcyj eliminacyjnych, niejednokrotnie nieznośnych nawet od wysłuchania.

Sądzę, że dzięki konkursowi szopenowskiemu można będzie ustalić, iż publiczność warszawska jest muzykalna, — lecz muzykalna na swój własny, dość osobliwy sposób.

Na Chopin'ie, naprzykład, zna się doskonale. Muzykę odczuwa tak wybornie, iż wystarczy, by kandydat, biorący udział w konkursie, przyśpieszył niewłaściwie tempo, przetrzymał pedał, źle poprowadził melodję i, już całe morze głów od pierwszych krzeseł do ostatnich faluje jednym znakiem niechęci i przeczenia. Wystarczy, by, kandydat skiksował raz i drugi, by na ustach publiczności ukazał się uśmiech ubolewania.

Mamy tu więc, o dziwo, — do czynienia z wybornym słuchem, z doskonałym poczuciem rytmu, z subtelnem wyczuwaniem stylu, — czego od lat wielu odmawiają publiczności warszawskiej wszyscy krytycy muzyczni i muzykolodzy.

Stwierdźmy więc odrazu: Publiczność warszawska jest muzykalna, lecz w swoim własnym ulubionym kierunku i tradycji, zachowując zresztą nadal zazdrosną odporność w stosunku do wszystkich innych — poza Chopin'em i po za włoską operą, — kierunków czy stylów.

Aplauzy, oznaki aprobaty, lub dezaprobaty, udzielane przez naszą publiczność w formie bardzo dworskiej, nigdy niszczącej, conajwyżej ironicznej, — mogą wzbudzić istotny podziw. Są poprostu nieomylne, mimo, że trudno nieraz wybierać w tak różnorodnych stylach gry, które wnoszą na estradę artyści konkursu.

Na razie, po dwóch tygodniach, zakończono już rozgrywki solowe. W czasie nich okazało się, że styl szopenowski w większości krajów, czy też ich szkół muzycznych nie posiada właściwej tradycji. Że to, co już ustanowiono dla Mozarta, dla Beethovena, — a więc swoista dynamika, swoisty charakter brzmienia danego mistrza w wykonaniu, natężenie frazy, rozpiętość dynamiki i frazowania melodji, — że to wszystko, o ile chodzi o Chopin'a, w większości krajów traktowanie jest wciąż jeszcze z całkowitą dowolnością.

Koncepcję muzyki szopenowskiej, wybitne staranie o właściwy i odrębny styl szopenowski przynoszą jedynie Polacy i Rosjanie.

Węgrzy, mimo, że okazali się świetni na konkursie, mimo, że stają do ostatecznych rozgrywek o najpierwsze miejsca, że mają wspaniałą tradycję gry wogóle, że rozporządzają ogromną brawurą i czarującą czułością (Ungar Imre), przytem świetną mechaniką gry zdrowej i dojrzałej, nie wykazują poszukiwania syntetycznego w kierunku tworzenia szopenowskiego stylu.

Omawiając szkoły polską i rosyjską, możemy na razie powiedzieć, iż Polacy posiadają więcej zrozumienia owego stylu, wykazują więcej charakteru, poczucia siły i tragizmu Chopin'a, — natomiast ustępują Rosjanom znacznie pod względem opanowania samego instrumentu.

Rosjanie zaś, chociaż posiadają samą sztukę władania fortepianem w o wiele wyższym i równiejszym stopniu od Polaków, — mają narzuconą przez swych, zresztą bardzo wytrawnych pedagogów, koncepcję Chopin'a zgoła obcą temu mistrzowi.

Chopin rosyjskich, względnie sowieckich pianistów, to uroczy salonowiec, czarujący suchotnik, szepczący resztkami oddechu jakieś nieśmiałe zaklęcia i nieokreślone przypowieści. Pastelowość tego ujęcia, pozostająca ciągle w pół szeptach, niedomówieniach, westchnieniach nieokreślonych, doprowadza do zaprzeczenia tego właśnie, czem Chopin operował najwspanialej, czem operował, jak nikt inny na świecie, — a mianowicie do zaprzeczenia samej barwy i brzmienia fortepianu.

Dlaczego szkoła polska, mimo tak wspaniałej tradycji Mikulego, Paderewskiego, Śliwińskiego, Domaniewskiego, Michałowskiego, Rubinsteina, — nie wysunęła się na pierwsze miejsce?

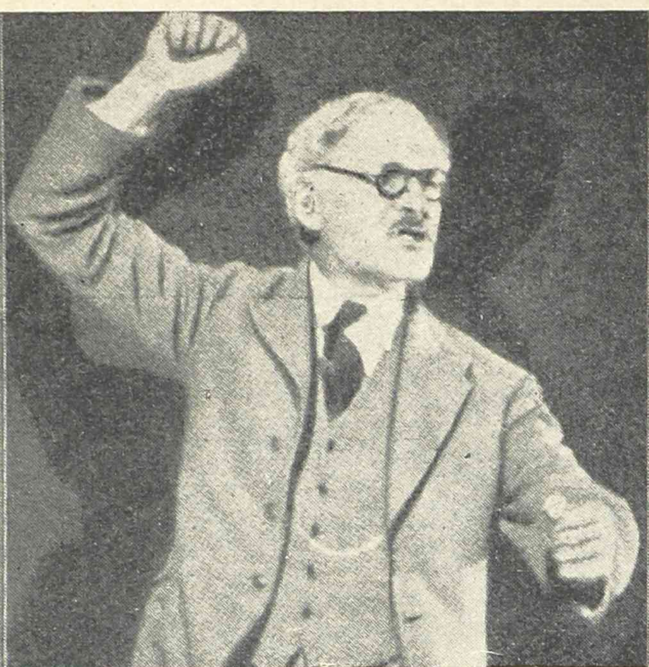
Dlaczego szkoła nasza, nietylko nie prowadzi, lecz z trudnością utrzymuje się w konkurencji?

Na pytania te trzeba będzie koniecznie odpowiedzieć po całym konkursie, odpowiedź bowiem może szkole naszej niejedno wyjaśnić i ustrzec ją od dalszych w tym kierunku nieporozumień, czy niedociągnień.

Chcąc, — i słusznie — ustalać tradycję szopenowską, musimy w tradycji tej świecić przykładem nietylko pod względem rozumienia intencyj mistrza, lecz także pod względem efektywnego wykonania sztuki szopenowskiej. Na drugim konkursie międzynarodowym okazało się, że intencje rozumiemy, w wykonaniu jednak posiadamy braki i to tak wielkie iż szkoły inne, mimo że słabsze pod względem rozumienia stylu, — biją nas na estradzie techniczną i muzyczną świetnością gry swych adeptów.

Zastępca.

Gest u mówców



Ramsay Macdonald



Benito Mussolini

Krasomówstwo polega nietylko na płynnej wymowie, umiejętnem modulowaniu głosu, trafnym doborze określeń i porównań, silnem akcentowaniu niektórych punktów wywodów i przeplataniu ich momentami, wywołującemi śmiech lub entuzjazm. Wymaga ono także odpowiedniej gestykulacji i sharmonizowania jej z treścią przemówienia. Ruch ręki, głowy a nawet całego korpusu podkreśla lepiej od natężenia strun głosowych miejsca, które chcemy wbić i wrazić w przekonanie i pamięć słuchaczy.

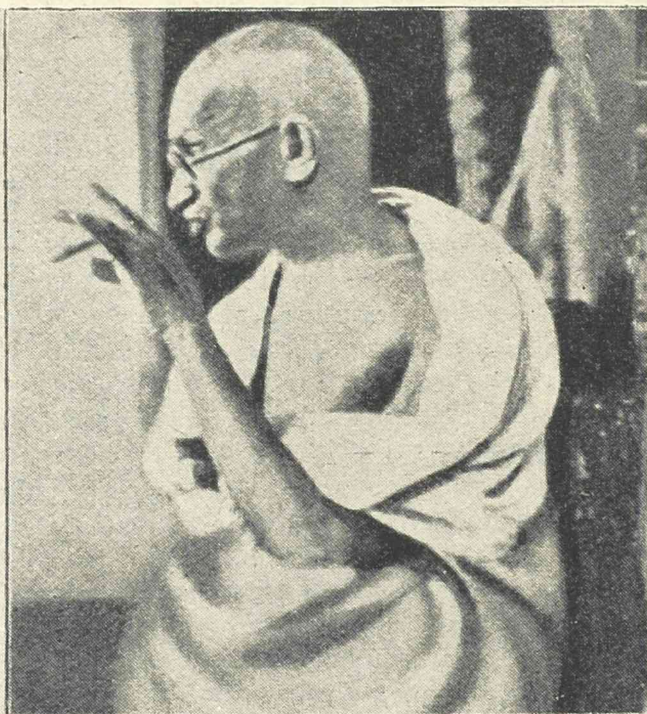
Każdy wielki mówca ma swoisty gest, którego jednak nie powinien nadużywać, aby nie wywoływać wrażenia monotonji.

Spójrzmy na te postacie, stojące na mównicy. R. Macdonald narzuca swe zdanie, jakby ciskał w tłum nieodparte argumenty. A. Briand wykłada i poucza; to doświadczony wirtuoz słowa, uwodziciel słuchaczy. A. Hitler magnetyzuje wzrokiem i wyciągniętą naprzód ręką, znać w nim demagoga wiecowego. H. Brüning spokojnie tłumaczy, zamykając oczy i składając dłonie jakby do modlitwy; więcej ma w sobie z kaznodziei, niż z trybuna. Mahatma Gandhi mówi, jak mędrzec; rzuca aforyzmy i ilustruje je palcami jednej ręki. B. Mussolini ma gest wielkiego aktora: czaruje i zniewala, pieści się i upaja wygłaszanemi słowami. Lloyd-George szerokim ruchem ogarnia świat cały, porywa słuchacza, pognębia i wywyższa. O. Stalin mówi zwolna i dobitnie; nie ma tam frazesu, lecz sucha, żelazna logika i wymierzone dokładnie zdania. Wreszcie Alcara Zamora, prezydent Republiki Hiszpańskiej, wznosi się do szlachetnego patosu i ukazuje swemu audytorjum szczytne zadania.

Ilu mówców, tyle sposobów przemawiania i przekonywania o swej słuszności.



Aristide Briand



Mahatma Gandhi



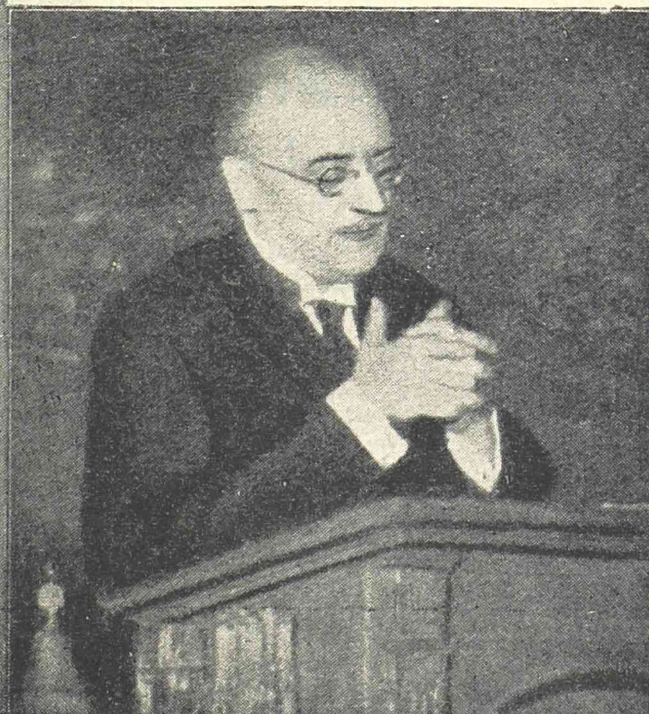
David Lloyd-George



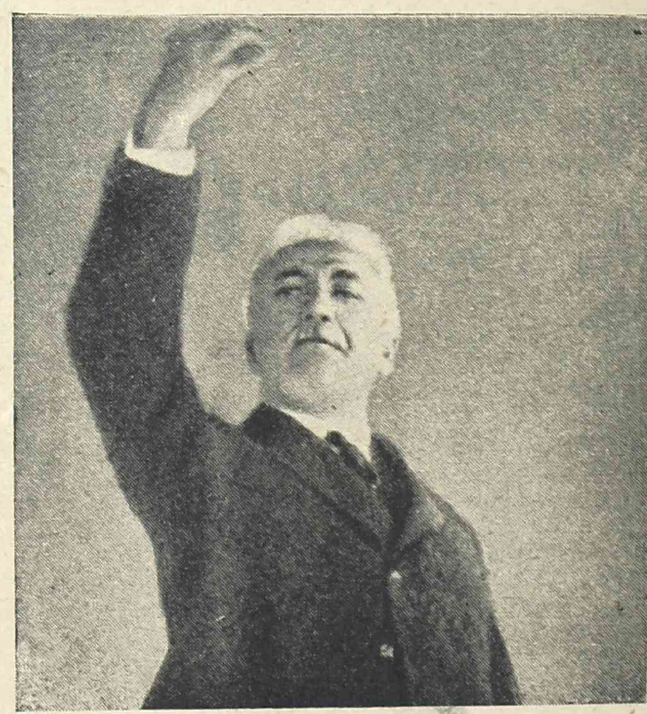
Adolf Hitler



Osip Stalin



Heinrich Brüning



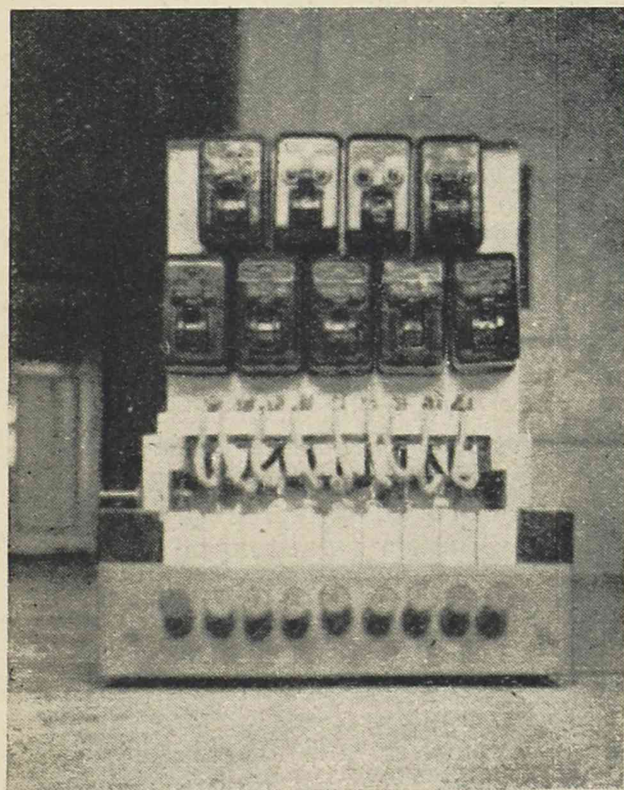
Alcara Zamora

LUCE — INSTRUMENT ŚWIETLNY

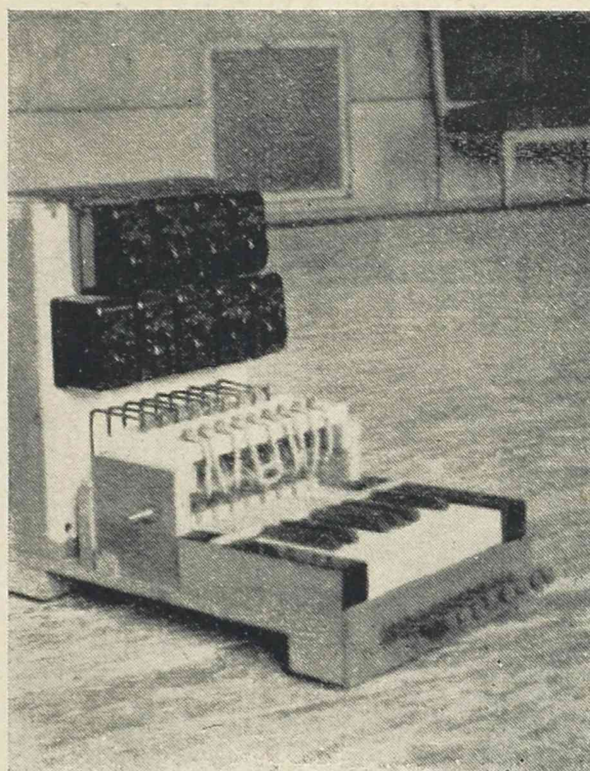
Ilość instrumentów muzycznych wzrosła znacznie w ostatnich czasach, głównie przez nowowynalezione instrumenty elektryczne. Wystarczy przypomnieć „sferofon" profesora Theremina i podobny instrument Francuza Martenot.

Teraz przybywa nowy instrument nazwany „luce". W partyturze, odegranej niedawno w wiedeńskim „Konzerthausie" symfonji Skrjabina „Prometeusz" znajdujemy, jako pierwszy głos, tę wielce tajemniczą nazwę „luce". Jeśli się wie, że słowo to znaczy po włosku „światło", to rzecz cała przedstawia się już o wiele mniej zagadkowo. Jest to t. zw. fortepian świetlny, za pomocą którego, przez uderzanie poszczególnych jego klawiszów, można wytwarzać efekty świetlne rozmaitej mocy i zabarwienia. Łatwo pojąć, że między muzyką a wrażeniami świetlnemi zachodzi pewne pokrewieństwo. Ujawnia się to nawet w mowie naszej. Mówimy wszakże o „barwie" głosu, o dźwiękach „jasnych", „przyćmionych" i t. p. Niektóre produkcje muzyczne wymagają wprost pewnych wrażeń wzrokowych. Razi nas marsz żałobny odegrany wśród rzęsistego światła, dziwnie brzmiałby marsz weselny w ponurej lub zgoła ciemnej sali. Dla tych samych przyczyn tango tańczy się zwykle przy oświetleniu czerwonem, a walca przy seledynowem lub błękitnem.

To spotęgowanie wrażeń muzycznych przez efekty świetlne zostało poraz pierwszy wyzyskane w wyżej wspomnianej kompozycji muzycznej rosyjskiego kompozytora Skrjabina. Jak nuty w partyturze są symbolem pewnych dźwięków muzycznych, tak samo nuty fortepianu świetlnego oznaczają pewną specjalną barwę. Oznaczeniu siły głosu (piano, forte i t. d.) odpowiadają przy fortepianie „luce" zmiany w natężeniu światła. W praktyce są jednak różnice i to znaczne. Siła dźwięku w instrumentach muzycznych zależy głównie od mniejszej lub większej energji ze strony grającego: silniejszego dotyku, dmuchania i t. p. Tu zaś naciśnięcie klawisza powoduje jedynie zamknięcie kontaktu elektrycznego, dzięki czemu powstaje światło. Zmiany w natężeniu światła powstają dopiero przez odpowiednie regulowanie opornika. Półtony powstają przez równoczesne załączenie dwóch sąsiadujących z sobą kolorów. Klawiatura jest bowiem tak skonstruowana, że klawisze górne (na zwykłym fortepianie czarne) przyciskają równocześnie dwa obok siebie położone dolne.



FORTEPIAN ŚWIETLNY WIDZIANY Z FRONTU



FORTEPIAN ŚWIETLNY WIDZIANY Z BOKU

Cały ten instrument posiada 15 tonów, które powstały przez skombinowanie skali barw z nauką harmonji. Instalacja świetlna składa się z dwudziestu reflektorów, każdy o sile 1300 świec. Reguluje się zapomocą opornika o natężeniu 70 Amperów. Przy budowie klawiatury największą trudność sprawiał problem wywoływania bardzo silnych prądów bez iskier przez najkrótsze włączanie i wyłączanie tak, żeby grający mógł swobodnie wykonywać szybkie przejścia i pasaże. Wynaleziono w tym celu specjalne kontakty rtęciowe, skonstruowane z dwóch rurek szklanych pozbawionych powietrza, a napełnionych rtęcią, przepływającą z jednej rurki do drugiej. Pierwsza produkcja nowego wynalazku wykazała wprawdzie jeszcze niektóre braki i błędy, ale dalsze udoskonalenie napewno będzie w stanie usunąć je i pozwoli na wszechstronne zastosowanie fortepianu „luce" także i do innych, nietylko muzycznych produkcyj.

margo.

Posiedzenie międzynarodowej Izby Handlowej w Paryżu



REPREZENTANCI 10-CIU NARODÓW OBRADUJĄ NAD KRYZYSEM; WŚRÓD NICH PRZEDSTAWICIEL POLSKI, P. BOGUSŁAW HERSE (DRUGI OD LEWEJ)

Fot. The Associated Press

Pozostań piękną!

Kobieta, która leży na kanapie, czyta romanse i przegryza je czekoladą, zniknęła już z powierzchni świata. Kanapy stały się anachronizmem, czekolady — w imię linji — nie jada żadna szanująca swoją figurę pani, a wszystkie biorą żywy udział w życiu i nie mają czasu na przeżywanie cudzych romansów.

Niemniej praca zawodowa nie powinna wpływać ujemnie na powierzchowność kobiety.

Pozostań lub stań się piękną! Lecz jak to połączyć z drugiem hasłem dnia: bądź oszczędna.

Zamiast uczęszczać do różnych salonów piękności i gabinetów kosmetycznych, stwórz sobie w domu własny instytut urody.

Oto kilka rad dla kobiety pracującej zawodowo, dla gospodyni domu i dla „pani, posiadającej towarzyskie zobowiązania".

Żadna z kobiet nie jest tak narażona na kurz, jak pracująca *zawodowo*. Twarz jej powinna stale być pokryta warstwą kremu. Rano należy wymyć twarz zimną wodą, dobrze osuszyć, położyć krem, na krem puder. Wieczorem oczyścić twarz



innym kremem (istnieją dwa rodzaje kremów na dzień — suchy, na noc tłusty). Nie zapominać nigdy o tym zabiegu. Jeżeli po pracy biurowej czeka panią jakaś przyjemność, odpocząć bezwzględnie, twarz obmywszy we wrzącej wodzie, a następnie w zimnej. Można też zrobić samej parówkę (spójrz na obrazek).

Niemniej ważną od pielęgnacji twarzy jest pielęgnacja ciała. Codzień zrana pięć minut gimnastyki. I proszę być względem siebie bezlitosną, nie przeznaczać tych pięciu minut na sen. Część drogi do biura należy odbyć pieszo. Świeże powietrze jest najlepszym i najtańszym środkiem, wpływającym na urodę.

Kto podczas pracy musi dużo stać, powinien wieczorem masować nogi, a następnie owijać je elastycznym bandażem.

Pielęgnacja włosów jest dla kobiety, pracującej zawodowo, kwestją niemal że istnienia. Inaczej pielęgnuje się tłuste włosy, inaczej suche. W każdym razie włosy należy myć przynajmniej dwa razy na miesiąc. Wodną ondulację pod woalką ułoży sobie każda z pań sama. Strzyżenie raz na miesiąc.

Gospodyni domu może na dzień nie pokrywać twarzy kremem, natomiast wieczorem musi ją oczyścić parówką.

O codziennej gimnastyce powinna pamiętać i poświęcać jej przynajmniej kwadrans czasu przed zajęciem się sprawami gospodarskiemi. Nie przeciążać się pracą, to jest podzielić ją umiejętnie i przerwać spacerem (bodaj po sprawunki). Jeżeli pani sama gotuje i sama sprząta, to najważniejszą rzeczą jest pielęgnacja rąk. Nie robić oszczędności na kremach! Po każdem umyciu rąk — nasmarować. Do cięższej pracy wkładać gumowe rękawiczki, na głowie nosić chusteczkę. Mądra i zręczna gospodyni domu, która sama sprząta i gotuje, powinna po całodziennej pracy wyglądać również pięknie i elegancko, jak pani, która jest przez cały dzień zajęta wyłącznie sobą.

Kobieta posiadająca *„obowiązki"* towarzyskie nie prowadzi tak miłego życia, jakby to można sądzić z pozorów. Musi być piękna, promienna i, jak się to mówi, ...reprezentacyjna. Wiemy, że odwiedza salony mód i instytuty piękności, że jest częstym gościem fryzjera. Wiemy, że dba o siebie. Niemniej pozwalamy sobie udzielić jej kilku rad, a raczej ostrzeżeń.

A więc ostrożnie z piciem cocktailów i innych alkoholi! Wpływają ujemnie na cerę i na linję.

Mało palić!

Nie tańczyć noc w noc!

Nie jadać o zbyt późnej godzinie.

Jeżeli pani poszła późno spać — proszę wstać wcześnie i wziąć zimny prysznic.

Masować się. Używać sportu. Spacerować.

Szanować specjalnie oczy. Po nieprzespanej nocy okłady z rumianku.

(na)



ROZRYWKI UMYSŁOWE



Wszystkim Uczestnikom i miłośnikom rozrywek umysłowych kierownictwo Działu składa najserdeczniejsze życzenia „Wesołego Alleluja!"

№ 21 (124) PISANKA WIELKANOCNA

(Za rozwiązanie 15 punktów).

Za trafne rozwiązanie niniejszego zadania Redakcja „Świata" przeznacza pięć wartościowych nagród książkowych. Nadto wszyscy, nadsyłający trafne rozwiązania, dopuszczeni zostaną do losowania „nagród pocieszenia" w V-tym Konkursie Kwartalnym (bezpłatna kwartalna prenumerata „Świata" oraz nagrody książkowe).

W pola każdej z pięciu części niniejszego zadania wpisać litery, które utworzą 116 wyrazów o podanem znaczeniu, czytanych w kierunku poziomym, pionowym lub ukośnym.

Znaczenie wyrazów I-ej części. Wyrazy poziome: 1. Rzeka na Syberji, 3. Mityczny lotnik, 5. Inaczej: opieka, 9. Mebel, 11. Inaczej: notatnik, 14. Ojciec, zdrobniale, 15. Rzeka na Kaukazie, 16. Składnik powietrza, 18. Imię męskie, 21. Zaimek, 22. Inaczej: trucizna. *Wyrazy pionowe:* 1. Rzeka w Rosji, 2. Inaczej: bicz, 3. Imię żeńskie, zdrobniałe, 4. Rzeka w Europie, 5. Oprawca, wykonawca wyroku, 6. Znana wytwórnia filmowa niemiecka, 7. Część fryzury, 8. Wyrażenie bridżowe, 9. Liczebnik, 10. Przyjaciel Mickiewicza, 12. Czasokres, 13. Ogród owocowy, 16. Zaimek, 17. Zaimek, 19. Wykrzyknik, 20. Inaczej: posiada.

Znaczenie wyarzów II-giej części. Wyrazy poziome: 23. Miara powierzchni, 25. Inaczej: rzeźnik, wędliniarz, 27. Nuta, 28. Zaimek łaciński, 30. Panujące upodobania, 33. Postać z „Trzech Muszkieterów", 37. Organizacja religijna, 38. Duchowny żydowski, 40. Siła popędowa, 41. Natarcie, 43. Nakrycie na łóżko, 44. Mieszkaniec pustyni, 46. Znana gra sportowa, 47. Nabój, 49. Wezwanie, 50. Inaczej: eksponat, 51. Część twarzy, wspak, 52. Inaczej: stałe stanowisko, 53. Papiery urzędowe, 55. Ozdoba ścian, 56. Pierwiastek chemiczny, 57. Święty kamień mahometan, wspak. *Wyrazy pionowe:* 23. Imię psa, 24. Bóg egipski, 25. Nuta, 26. Zaimek, 27. Rzeka w Polsce, 29. Upominek, 30. Widziadło, 31. Rzeka w Rosji, 32. Nuta, 34. Zaimek, 35. Liczebnik, 36. Przyrządy do cedzenia, 37. Powieściopisarka polska, 39. Środek znieczulający, 40. Przyrząd do rozcierania farb, 42. Górzysty kraj między morzem Czarnem i Kaspijskiem, 43. Miara staropolska, 45. Górna część stołu, 46. Krok taneczny, 48. Zaimek, wspak, 52. Czasokres, 54. Jedna z kart do gry, 55. Nuta.

Znaczenie wyrazów III-ciej części. Wyrazy poziome: 58. Instytucja finansowa, 60. Zwierzę leśne, 61. Pierwiastek chemiczny, 63. Imię żeńskie, zdrobniałe, 65. Urzędnik turecki, 66. Wyrób cukierniczy. *Wyrazy pionowe:* 58. Rodzaj głosu, 59. Ptak, 60. Drzewo w Polsce pospolite, 62. Jedna z kart do gry, 64. Rodzaj głosu, 65. Część utworu scenicznego.

Znaczenie wyrazów IV-tej części: 67—68. Mongoł, 68—69. Przednia część sceny, względnie estrady, 69—70. Rodzaj dyni, 70—71. Inaczej: zabronienie, 71—72. Warowny gród, 72—73. Miasto na Wołyniu, 74—75. Statek rybacki, 75—76. Najmodniejszy taniec, 76—77. Imię męskie, 77—78. Miasto w Poznańskiem, 78—79. Imię tureckie, 79—80. Przysłówek.

Znaczenie wyrazów w V-ej części: Wyrazy poziome: 81—82. Dostojnik państwowy, 82—83. Epoka, 83—84. Instytucja naukowa, 87—88. Imię męskie, 88—89. Imię żeńskie, 89—90. Drzewo, 95—96. Państwo w Europie, 96—97. Imię żeńskie, 97—98. Zaczepność, wojowniczość, 101—102. Zanikający zwyczaj ludowy w Krakowskiem. *Wyrazy pionowe:* 85—87. Część kościoła, 82—88. Stolica jednego z państw europejskich, 83—89. Opera Verdi'ego, 86—90. Miara długości, 91—95. Bóg grecki, 92—96. Termin muzyczny, 93—97. Imię popularnej polskiej artystki rewjowej, 94—98. Znana marka zegarków szwajcarskich, 99—101. Miara długości, 100—102. Gwiazdozbiór.

Na zadaniu w niniejszym zeszycie umieszczonem kończy się V-ty Konkurs Kwartalny. W następnym zeszycie ogłoszony zostanie, nowy, VI-ty Konkurs Kwartalny.

Z MUZYKI



HENRYK SZTOMPKA, UCZEŃ PADEREWSKIEGO, KONCERTUJE Z WIELKIEM POWODZENIEM W PARYŻU. W „CHATELET" GRAŁ FANTAZJĘ POLSKĄ PADEREWSKIEGO. W SALI PLEYEL'A WYKONAŁ RECYTAL, ZŁOŻONY Z UTWORÓW BEETHOWENA I CHOPINA

NIEBEZPIECZNA PRZESZKODA

NIEBEZPIECZNA PRZESZKODA, ŹLE WZIĘTA PRZEZ JEDNĄ DŻOKEJKĘ, SPOWODOWAŁA KATASTROFĘ NA WYŚCIGACH W LOS ANGELES. DWIE DŻOKEJKI ZOSTAŁY CIĘŻKO RANIONE, A JEDEN KOŃ POŁAMAŁ SOBIE NOGI Fot. New-York Time

KOSMETYKA

I. NOWOCZESNA KOSMETYKA LECZNICZA I JEJ ZADANIA

Wyraz kosmetyka pochodzi od greckiego „Kosmos", co oznacza: piękno, ład, harmonję, porządek. Już sam wyraz ten wskazuje, że zadaniem kosmetyki winno być uwypuklanie naturalnego piękna ciała i jego wdzięku; poprawianie tego, co w niem jest brzydkie lub zniszczone; wreszcie ukrywanie pewnych ułomności i braków.

Już na 3000 lat przed narodzeniem Chrystusa w starożytnym Egipcie tak też rozumiano kosmetykę, o czem świadczą odnajdywane w grobowcach: bielidła, pudry, puszki, pendzelki, najróżnorodniejsze patyczki, a na zwojach papyrusów dokładne recepty na preparaty kosmetyczne. Z przyborów tych i recept sądzić można, że starano się wówczas w misterny sposób, drogą zmiany kolorów i ich tonacji nadać cerze piękny wygląd, zgodny z ówczesnemi pojęciami estetycznemi.

Ten rodzaj, że tak powiem, chwilowego upiększania ciała nazywany kosmetyką maquillage'ową. Jej też hołduje większość pań i zależnie od doboru środków, poczucia estetyki i finezji, z jaką zabiegi te robią, otrzymują większe lub mniejsze rezultaty. Metoda ta ma za zadanie ukrycie doraźne wad, bez oglądania się na jutro.

Co jednak ma robić młodziutka jeszcze wiekiem, ale o starczym lub szpetnym wyglądzie, istota w dzisiejszych czasach zrównania w prawach płci i walki o byt. Przecież dziś człowiek nietylko że nie chce, ale nawet nie może być stary, bo z chwilą, gdy starość zaczyna swe piętno kłaść na naszym zewnętrznym wyglądzie — przeważnie traci się pracę, a z nią i środki utrzymania. Również osoba z twarzą odrażającą, pokrytą krostami i t. p., znacznie trudniej znajdzie pracę, niż ta, która ma powierzchowność miłą i ujmującą. I nie można nawet temu się dziwić. Tak wielka jest bowiem podaż na rynku pracy sił młodych, wykwalifikowanych, że dla tych, którzy od pierwszego spojrzenia nie zrobią dodatniego wrażenia — praca się nie znajdzie, pomimo wewnętrznych zalet, gdyż każdy woli otoczenie piękne, niż brzydkie. Ponieważ jednak matka - natura nie wszystkich obdarzyła jednakową dozą piękna, a wszyscy przecież żyć i pracować muszą, nowoczesna kosmetyka lecznicza wzięła sobie za zadanie poprawianie usterek, popełnianych przez naturę, bądź spowodowanych różnemi wypadkami.

Nowoczesna kosmetyka lecznicza, w odróżnieniu od maquillage'owej, dąży do naturalnego piękna. Stara się ona radykalnie usuwać niedokładności skóry, a nie chwilowo je przykrywać. Wychodzi ona z założenia, że skóra nasza nie jest tylko powłoką, okrywającą kości i mięśnie, ale jest ściśle związana z życiem całego organizmu ludzkiego i zachodzącemi w nim zmianami, które odbijają się na skórze, jak w zwierciadle. I dlatego też przy każdej prawie niedokładności, czy zmianach na skórze twarzy, szuka przedewszystkiem przyczyn w samym organiźmie, a znalazłszy — leczy je. Pozostaje potem tylko usunięcie środkami zewnętrznemi samej niedokładności. W ten sposób zwracamy skórze jej naturalny wygląd.

(d. c. n.)

Helena Brzezińska
Kierowniczka Działu Kosmetycznego w Instytucie Kosmetyczno-Lekarskim Izis w Warszawie

NOWOŚĆ W KOSMETYCE

Zachowanie wiecznie świeżej cery, walka ze zmarszczkami, wągrami i t. p. wadami naskórka, jest ciągłą troską kobiet całego świata. Aby być stale piękną i powabną, panie nie wahają się przed najbardziej niemiłemi ofiarami, począwszy od żmudnych, godzinami trwających masaży, aż do chirurgicznych operacji odmładzających.

Praktyczni Amerykanie postanowili ułatwić pięknym paniom pielęgnowanie urody. Wynik prac wypadł pomyślnie, bo oto ukazał się niewielki aparat kosmetyczny „Belosan", dzięki któremu każda z pań ma możność w domu stale pielęgnować swą cerę, zachowując w ten sposób świeżą, gładką, bez pryszczy i wągrów twarz.

Belosan jest-to mały, prosty w swej konstrukcji aparat, zakończony z jednej strony szklaną tarczką do rozcierania kremu, a z drugiej t. zw. szkiełkiem cyrkulacyjnem, do dokładnego oczyszczania porów skóry i do żywszego pobudzania cyrkulacji krwi.

Sposób stosowania aparatu jest równie nieskomplikowany jak jego konstrukcja, a co ważniejsze nie wymaga elektryczności.

Cały zabieg trwa 6—10 minut, a stosowany dwa lub trzy razy tygodniowo nadaje cerze idealnej świeżości i piękna.

Niewątpliwie „Belosan" przez swą prostotę, a tembardziej, skuteczność zwycięży dotychczasowe aparaty kosmetyczne i stanie się niezbędnym skarbem na toalecie każdej pani.

Dr. R. S-wski.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Zofja L. Największym wrogiem ładnej cery jest twarda woda do mycia. Żeby ją zmiękczyć radzę dodawać 1 łyżeczkę proszku *La Moelette* na 1½ — 2 litry wody przegotowanej. Prócz tego, zamiast mydła, radzę używać do mycia twarzy *Otrąbki Abaridowe*, a chropowatość i szorstkość skóry ustąpi napewno.

P. Maryli z Kruczej. Włosy na rękach usunie Pani momentalnie *Epil-Maxem.* Dla wydelikatnienia i wybielenia rąk radzimy stosować znany krem *Krem Pralatów* i pyłek *Juvenia Candida.*

Płochliwej. Naturalny i świeży kolor ustom nada Pani, stosując płyn *Rosein,* który się nie zmywa i nie plami. Zęby nabiorą śnieżnej białości przy stosowaniu do mycia proszku *Albol.*

Kresowiance. Twarz pielęgnować *Kremem Abaridowym*, a wszystkie defekty skóry jak: łuszczenie się, chropowatość i pryszcze ustąpią. Myć twarz najlepiej na noc *Otrąbkami Abaridowemi,* a następnie wetrzeć cokolwiek *Kremu Abaridowego* (nietłustego) i przypudrować tymże pudrem. Już po paru dniach zobaczy Pani wielką różnicę.

M-me Ercedès

Skład główny środków tu podanych: Marszałkowska 109, Perfection.



Najbardziej popularna wędliniarnia

Tradycja wymaga, aby na Wielkanoc stół był zastawiony nie tylko ciastem, lecz także i smakowitemi kręgami kiełbas, piękną szynką i t. p. wyrobami masarskiemi. Jednak nabycie dobrej wędliny w okresie świątecznym nie jest tak proste, gdyż przy wzmożonym ruchu w sklepach łatwo można trafić do nierzetelnego sprzedawcy i nabyć towar niesprawdzony, narażając siebie, swą rodzinę i gości na ciężką chorobę, t. zw. włośnicę.

To też każdy, kto chce posiadać na swym stole wysokogatunkową wędlinę, powinien zaopatrywać się w firmie znanej w Warszawie Dydyńskiego, ul. Marszałkowska 111, posiadającego najlepszy towar. Wyroby Dydyńskiego posiadają już ustaloną reputację i reklamy nie potrzebują. Każdy wie, że wędlina Dydyńskiego jest wyrabiana z najwyższych gatunków surowca, czego najlepszym sprawdzianem jest wielkie powodzenie pokoju gościnnego przy wędliniarni.

HUMOR

Między przyjaciółkami:

— Władek wyznał mi wczoraj, że jestem jego snem.

— A to zabawne!

— Dlaczego?

— Bo mnie mówił trzy dni temu, że miewa bardzo przykre sny.

Poświęcenie nowo-otworzonej wędliniarni



W dniu 5 b. m. nastąpiło otwarcie i poświęcenie nowo-otworzonej wędliniarni P. Oporskiego przy ulicy Marszałkowskiej 102. (Gmach Hotelu Wiedeńskiego). Fot. Marjan Fuks

Redaktor odpowiedzialny *St. Krzywoszewski.* Druk. Galewski i Dau, Warszawa

KUPON ZNIŻKOWY Nr. 6

DO TEATRU NARODOWEGO, NOWEGO I LETNIEGO W WARSZAWIE

ważny od 25 do 31 marca r. b. włącznie, z wyjątkiem niedziel, sobót, świąt, dni przedświątecznych i premjer.

50%

Niniejszy kupon tygodnika „ŚWIAT" uprawnia do nabycia w kasie jednego z powyższych teatrów w dniu przedstawienia od godziny 6-ej po południu biletu dla jednej osoby ze zniżką. Jedna osoba ma prawo nabywać nie więcej, jak cztery miejsca ulgowe jednorazowo. Przy cenach popularnych zniżka 50% oblicza się od cen normalnych.